



**PATRICIA KNOLL**



***Najprawdziwsza McCoy***

# PROLOG

- Chodźmy. Jesteśmy spóźnieni - powiedziała Ginny McCoy, ciągnąc swego ojca po schodach wiodących do stuletniego kościoła. Jednocześnie popędzała idącą przed nimi młodszą siostrę, szturchając ją w plecy.

- Nie popychaj mnie - zaprotestowała Carrie odwracając się. - Nie bardzo rozumiem, dlaczego koniecznie chcesz być na tym ślubie. Przecież zabujałaś się w Samie Calhounie, gdy zaczęłaś grać w jego żeńskiej drużynie baseballowej - dodała z rozbijającą szczerością siedemnastolatki.

Przyjrzała się siostrze. Szmaragdowa sukienka spowijała drobną figurę dziewczyny. Ozdobne stebnowanie kieszonek biegło wzdłuż szwów aż do połowy łydek. Ramiona Ginny otaczały długie, jasne niczym łan zboża włosy.

- Powinnaś raczej włożyć strój zawodniczki. Wówczas wraz z koleżankami z drużyny mogłybyście wstać i zaszlochać chórem, gdy Sam powie wreszcie „Tak”.

- Zamknij się - odparła Ginny z wściekłą miną. - Trzeba było zostać w domu, ale ty też nie chciałaś opuścić ślubu roku.

- No cóż, może spotkam tu paru przyjaciół - Carrie zatrzymała się przed dwuskrzydłowymi drzwiami do kościoła, by przyglądzić krótko obcięte, kręcone, kasztanowe włosy i odciągnąć na chwilę kołnierzyk ze spoconej szyi.

Ginny uprzedzała ją, że różowa satyna jest za ciepła jak na sierpniowe popołudnie i już miała jej to przypomnieć, gdy odezwał się ojciec.

- Spokojnie, dziewczęta - sapnął Hugh, otwierając ciężkie dębowe drzwi. - Patrzcie, już się zaczęło.

- Ależ tu tłoczno - jęknęła Ginny, gdy weszli do przestronnego przedsionka. Na widok wypełnionych gośćmi mahoniowych ławek, w jej niebieskich oczach odbiło się rozczarowanie. Gdyby nie musiała tak długo namawiać ojca na włożenie garnituru i krawata, zdążyliby na czas.

Kościół był pięknie udekorowany. Sam i Laura stali przed ołtarzem, a

przewielebny Mintnor właśnie miał zamiar zacząć. Ginny świadoma tego, że wszyscy na nich patrzą, rozpaczliwie szukała wolnego miejsca.

Wreszcie dostrzegła w jednym z ostatnich rzędów. Siedziało tam parę koleżanek z drużyny, przywoływały ją gestami. Złapała Hugh'a, Carrie i pospieszyła w tę stronę. Przysiedli obok Margie Blaines.

- Przyszłaś obejrzeć zawarcie kontraktu, co? - szepnęła Margie. - Szczęściara z tej Laury Decker.

- Oboje mają szczęście - odszepnęła Ginny. Goście umilkli, bo solistka zaintonowała pierwszą pieśń.

Gdy jej głos rozbrzmiewał w kościele, Ginny z przyjemnością przyglądała się obecnym. Wyglądało na to, że zebrali się tu wszyscy mieszkańcy leżącego w Południowej Karolinie Webster. Wymienienie ich nazwisk wypełniłoby całe wydanie miejscowego tygodnika „Herald”, którego właścicielem i redaktorem naczelnym był Hugh.

Ginny uśmiechnęła się niechętnie, przyznając w duchu rację Carrie. W kościele zebrała się cała drużyna żeńskiego baseballu, ponieważ żadna z dziewcząt nie mogła uwierzyć, że najatrakcyjniejszy, i zarazem najbardziej pożądany jako kandydat na męża, mężczyzna żeni się. Podkochiwały się w nim wszystkie, nawet taka szczęśliwa mężatka jak Margie. Kiedy Sam wypowiedział wreszcie sakramentalne „Tak”, przez kościół przeleciał potężny jęk zawodu.

Carrie zachichotała i trąciła Ginny porozumiewawczo.

Nabożeństwo skończyło się. Goście wstali, a Ginny wyprostowała się, żeby wszystko widzieć. Uwielbiała klimat ślubów i lubiła wyobrazać sobie własny. Sądziła, że najodpowiedniejszą porą byłoby Boże Narodzenie, druhnym w sukniach z ciemnogrnatowego aksamitu. Ojciec ubrany w smoking i koszulę z żabotem podprowadziłby ją do ołtarza. Tu sprawa zaczynała się komplikować. Równie trudno jak przyszłego małżonka przychodziło jej wyobrazić sobie Hugh'a w smokingu.

Ginny przytrzymała się oparcia przedniej ławki i wspięła na palce. Choć mierzyła zaledwie metr pięćdziesiąt siedem i nawet w butach na wysokich obcasach niewiele widziała ponad głowami tłumu, udało się jej dojrzeć orszak ślubny. Podziwiała suknię Laury z białego atlasu i koralowe kostiumy druhen. Sam i jego dwaj drużbowie mieli na sobie fraki. Ginny uderzyło podobieństwo tych trzech mężczyzn. Wiedziała, że druhnami Laury były jej siostry i zastanawiała się, czy ci dwaj są również braćmi Sama.

Gdy zabrzmiały organy i orszak ruszył w stronę wyjścia, jeden z drużbów odwrócił głowę w jej stronę, gdy tylko na niego spojrzała. Wprost gapił się na nią.

Wyglądał przystojnie, choć nie oszałamiająco. Miał zaczesane do tyłu, krótko obcięte jasne włosy o ton ciemniejsze niż jej, prosty nos, wargi mięsiste i zmysłowe. Największe wrażenie wywarły na Ginny oczy nieznanego. Były nieprawdopodobnie szare i wpatrywały się w nią natarczywie.

Serce Ginny zabiło gwałtowniej, zabrakło jej tchu. Twarz oblał rumieniec. Zmieszała się, czując, że wszyscy w kościele widzą, jak mu się przygląda. Nie dbała o to. Nie była w stanie odwrócić oczu.

Nieznanomy musiał mieć podobne odczucia. Gdy przechodził obok, trzymając pod rękę roześmianą druhenę, wciąż wpatrywał się w Ginny. Wreszcie oddalił się w stronę kościelnej sieni.

Ginny opadła z powrotem na obcasy, jakby ktoś wyłączył nagle przepływający przez nią prąd. Kiedy tylko zdołała się opanować, zwróciła się do ojca.

- Kto to był, tato? Ten... przystojny mężczyzna.

Hugh, zajęty rozwiązywaniem krawata i wypatrywaniem najmniej zatłoczonego przejścia, nie zwrócił uwagi na jej rumieńce i podekscytowany głos.

- To Bret, brat Sama. Chcę się z nim spotkać. O ile wiem, jest reporterem w Memphis. Powinnaś również go poznać. Musicie mieć wiele wspólnych tematów.

- Nie żartuj - powiedziała, wciąż drżąc na wspomnienie tego doznania.

- Jeśli będziesz chciała zrezygnować z pracy u mnie, on mógłby znaleźć ci coś innego. Należy wykorzystać wszelkie możliwości.

- Zapewne - odparła, wychodząc w ślad za ojcem i Carrie z kościoła.

Wciąż zastanawiała się nad tym, co jej się przytrafiło. Nigdy dotąd nie reagowała w tak idiotyczny sposób na widok mężczyzny. Gdy dotarli do sali, gdzie odbywało się wesele, wciąż jeszcze usiłowała otrząsnąć się z wrażenia. Nim zdolali złożyć gratulacje młodej parze, zaczęto już tańczyć. Hugh i Carrie poszli napić się ponczu i poszukać znajomych.

Ginny stała na skraju parkietu i słuchając porywającej muzyki, kołysała się rytmicznie. Suknia delikatnie ocierała się o jej łydki.

Po przeciwnej stronie sali spostrzegła jakiegoś wyprostowanego mężczyznę. Rozejrzał się wkoło i zupełnie, jakby zawołała - Bret Calhoun - spojrzał wprost na nią. Stał rozbawiony i flirtował z druhną, lecz nagle jego uśmiech przygasł.

Nawet nie odezwał się do otaczających go ludzi. Po prostu odwrócił się i ruszył w jej stronę. Na ten widok serce Ginny załomotało w szalonym rytmie. Pomyślała sobie, że rozsądna kobieta powinna w takiej sytuacji uciec, ale stała jak wryta, czekając aż Bret podejdzie do niej.

Wreszcie stanął o krok przed nią. Ogarnął spojrzeniem jej twarz, prześlizgnął wzrokiem po włosach, ocenił jej figurę i ponownie popatrzył na oblaną rumieńcem twarz Ginny. Zdawało się jej, że czas wokół nich stanął, pozostali goście zbili się w jakąś kolorową plamę, zostawiając ich sam na sam.

Gdy zaczęła tracić ostrość widzenia, zorientowała się, że zbyt długo wstrzymywała oddech. Gwałtownie zaczerpnęła powietrza. Bret uśmiechnął się słysząc ten delikatny dźwięk.

I w tym momencie była już zgubiona.

Bret wziął ją za rękę i zaprowadził na parkiet. Zaczęli się kołysać w powolnym rytmie słodkiej muzyki, jakby robili to od zawsze. Po chwili partner zrezygnował z tradycyjnego sposobu prowadzenia tancerki. Zarzucił sobie jej rękę

na szyję i objął ją w pasie.

Bliskość Breta była dla Ginny najbardziej wstrząsającym a zarazem najcudowniejszym doznaniem w życiu. Emanowała z niego nie znana jej dotąd zmysłowość.

Przeszedł z nią na taras, gdzie w mroku tańczyło już kilka par. Tam odsunął się nieco i w słabym świetle padającym z sali przyjrzał się uważnie jej twarzy.

- Nazywam się Bret Calhoun - powiedział stłumionym głosem tak cicho, że tylko Ginny mogła go usłyszeć.

- Wiem.

- Skąd?

- Pytałam o ciebie - wyznała bez tchu.

Bret uniósł podbródek w geście zrozumienia.

- Interesowałaś się mną? To brzmi obiecująco. Jak się nazywasz?

- Ginny McCoy - odparła, starając się ukryć drżenie głosu.

- Najprawdziwsza McCoy - uśmiechnął się unosząc wyżej jeden z kącików ust. - Wreszcie cię znalazłem.

Ginny zamrugała gwałtownie, bo wydało się jej nagle, że przeskoczyli kilka etapów rozmowy.

- Polowałeś na mnie?

- Tak, ale aż dotąd nie wiedziałem, jak ci na imię.

- O co ci chodzi?

Zamiast odpowiedzieć, Bret cofnął się i ujmując jej dłonie przesunął ją tak, by w ostatnich promieniach zachodzącego słońca spojrzeć na twarz dziewczyny.

Ginny wiedziała, że jest ładna, nigdy jednak nie była próżna. Jej odziedziczona po matce uroda stanowiła jedynie cień pierwowzoru i Ginny nie przypisywała sobie żadnej szczególnej zasługi w tym względzie. Teraz jednak świadomość nieskazitelnej kremowej cery i regularnych rysów sprawiała jej przyjemność.

- Czy skończyłaś chociaż osiemnaście lat? - spytał z ironią w głosie Bret.

- Oczywiście! Mam już prawie dwadzieścia trzy.

Uśmiechnął się radośnie.

- Wyglądasz tak dziewczęco, tak niewinnie.

- To bardzo staroświeckie określenia - pokręciła głową Ginny.

- Moim zdaniem pasują do ciebie. Masz męża?

- Nie.

Bret odetchnął z wyraźną ulgą. Uścisnął jej palce. Zrobił to delikatnie, lecz Ginny poczuła to aż do szpiku kości.

- Świetnie. To upraszcza wszystko.

- Co?

- Wszystko pomiędzy nami - urwał i spojrzał najpierw na ich złączone ręce, potem na twarz dziewczyny.

Nikt dotąd tak na nią nie patrzył. Zadrżała, drżały również jej palce w dłoni Breta. Gdy odezwał się ponownie, przemówił niskim głosem, starając się, by dobrze zrozumiała każde słowo.

- Chciałbym, żebyś wiedziała, że mam zamiar ożenić się z tobą.

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ginny budziła się powoli i leniwie. Podświadomie uśmiechała się z poczuciem głębokiego zadowolenia. Wyciągnęła lewą rękę, ale natrafiła jedynie na pustą poduszkę.

Wówczas jej oczy, błękitne niczym niebo nad Południową Karoliną, otworzyły się gwałtownie. Leżała w łóżku sama i trwało to już od siedmiu miesięcy. Żal i tęsknota opadły ją natychmiast, lecz jak co rano zdecydowanie zdławiła te uczucia.

Nie mogła pojąć, czemu tak bardzo brakuje jej Breta. Nim się pobrali, Ginny sypiała sama. Po ślubie Bret często nie wracał na noc, pozostawiając ją samotną w łóżku. A teraz znów od paru miesięcy była sama...

Ginny nie chciała o tym myśleć. Odrzuciła kołdrę, wysunęła nogi z łóżka i wstała. Oczekała chwilę, aż opadnie fala emocji, potem przeciągnęła się parę razy, by rozruszać mięśnie i przyspieszyć krążenie krwi.

Pospieszny ślub z Bretem Calhounem odbył się w urzędzie miejskim zaledwie dwa tygodnie po ślubie Sama i Laury. Ginny opuściła męża w niespełna pół roku później. Pierwszą, smutną rocznicę uczciła składając pozew o rozwód.

Rozpamiętując swoje nieudane małżeństwo Ginny podeszła machinalnie do okna. Długa, różowa koszula nocna owijała się wokół jej kostek. Otworzyła okno i wpuściła do sypialni chłodne powietrze wrześnieego poranka.

Potarła nagie ręce i uklękła przed oknem wyglądając na zewnątrz. Jak zwykle tuż po przebudzeniu była zła i zmieszana, nie pojmując, jak mogła zakochać się w kimś równie nieodpowiednim dla niej.

Gdy tak klęczała czekając, aż zapanuje nad swoim wzburzeniem, jej zmysły zaczęły reagować o wiele ostrzej. Intensywniej odczuwała zapach poranka. Liście rosnącego za oknem klonu wydawały się bardziej wyraźne. Głos sąsiadki, przypominającej mężowi, by kupić gazety w sklepie na rogu, słyszała tak czysto,



jakby kobieta znajdowała się w jej sypialni.

Ginny wstała i niechętnie wzruszyła ramionami. Może rzeczywiście powinna zapomnieć o swoim małżeństwie, zacząć na nowo układać sobie życie.

Zastanawiała się nad tym, zaczesując do tyłu sięgające do ramion, jasne włosy. Spięła je spinką z jedwabną kokardką. Potem włożyła turkusowe spodnie i wściekle różową bluzkę, swój ulubiony zestaw kolorów.

Na dole, podczas przygotowywania śniadania, przyłapała się na tym, że czynności, które wykonywała automatycznie od chwili, gdy ukończyła dwanaście lat, absorbują ją dziś wyjątkowo.

Popijała kawę, smażąc jajecznicę i przygotowując grzanki. Mimo że od dawna kupowała produkty tych samych firm, wszystko tego ranka miało smak nowości.

Ginny nałożyła jaskrawoczerwonego dżemu wiśniowego na spodeczek z rżniętego szkła. Potem ustawiła wszystko na tacy i zaniósła do jadalni. Ona i Hugh jadali zazwyczaj w kuchni, ale dziś Ginny zapragnęła odmiany.

Na dół zszedł ojciec ubrany w sfatygowane, szare spodnie i wypłowiały zielony golf. Wesoło pogwizdując zajął miejsce przy stole.

- Dzień dobry, kochanie. Jakaś specjalna okazja?

- Niezupełnie. Po prostu chciałam tu zjeść śniadanie. Razem jadamy tylko rano, powinniśmy to sobie uprzyjemnić - Ginny osunęła się na oparcie krzesła.

Nie opuszczało jej napięcie.

- Dobrze spałaś? - spytał Hugh, przyglądając się jej uważnie.

Ginny doszła do wniosku, że wykręt pobudził dziennikarską czujność ojca. Przeklinała w duchu, że z jej twarzy można było wyczytać wszystko.

- Świetnie - wychrypiała, porywając codzienną gazetę. Zasłoniła się nią.

Po paru minutach milczenia Hugh odchrząknął.

- Ginny, mam ci coś do powiedzenia.

- Tak, o co chodzi, tato? - Jej uwagę przykuł artykuł na temat ostatniej rundy

rokowań na Bliskim Wschodzie. Zastanawiała się nad dodaniem do „Heralda” kolumny redakcyjnej, może nawet zaprosi niektórych mieszkańców miasteczka do wyrażenia opinii na temat światowych wydarzeń.

- Posłuchaj mnie, Ginny Kay.

Kiedy ojciec zwracał się do niej w ten sposób, sprawa była poważna.

- Tak, tato?

- Zdecydowałem się przejść na emeryturę.

- Na emeryturę? - Ginny wypuściła z rąk gazetę i wbiła wzrok w ojca. Hugh złapał dzbanek z kawą i nalał sobie następną filiżankę. Unikał jej spojrzenia. - Co znaczy: na emeryturę?

- No cóż, jeśli idzie ci o encyklopedyczne określenie, oznacza to „wycofanie się z interesu”.

- Chodzi mi o twoje określenie - czekała ze ściągniętą twarzą, po plecach przebiegły jej ciarki.

Wyglądało na to, że znalazła wreszcie przyczynę swego dzisiejszego dziwnego nastroju.

- Tato - nalegała, gdy uparcie milczał. - Jakie jest twoje określenie?

Ojciec wzruszył ramionami i dolał sobie śmietanki do kawy.

- Chyba takie samo. Zamierzam wycofać się z wydawania czasopisma.

- Chcesz sprzedać „Heralda”? - Ginny omal nie udławiła się tym pytaniem.

- No, nie. Zamierzam zatrudnić nowego naczelnego.

Ginny byłaby mniej zaszokowana, gdyby ojciec oświadczył, że zamierza uciec z tancerką rewiową. Bezgłośnie zamykała i otwierała usta, bladła i czerwieniała na przemian. Jej ładna twarzyczka zamieniła się w maskę przerażenia.

- Wynając... - przelknęła ślinę - ależ tato, przecież ja jestem redaktorem naczelnym.

Ojciec pogroził jej palcem.

- Tylko tymczasowo, kochanie. Umówiliśmy się przecież, że zajmiesz się tym

do czasu, aż wykuruję się z tego cholernego zapalenia płuc, a potem znów wrócisz do reportaży.

Ginny ogarnęła groza połączona z poczuciem porażki.

- Nie ma takiej potrzeby. Dam radę...

Ojciec podniósł rękę w górę.

- Daj mi skończyć - pociągnął łyk kawy i odstawił filiżankę. Zadzwoiła o porcelanowy spodeczek.

- Prawda jest taka, moja mała Ginny, że poczułem się o wiele lepiej. Wiem, że dojście do zdrowia zajmie mi jeszcze trochę czasu, ale czuję się już lepiej. I zdecydowałem, że już czas wycofać się z wydawania pisma.

- Ależ tato, masz dopiero pięćdziesiąt pięć lat - zaprotestowała. - Czemu chcesz przejść na emeryturę w tak młodym wieku?

Hugh skrzywił się i przeciągnął dłonią po gęstych, siwiejących włosach. W ciągu roku przybyło mu siwizny, a twarz pokryły zmarszczki.

- Ponieważ jestem młody. Choroba uświadomiła mi, że chciałbym w życiu robić coś więcej, niż tylko wydawać tygodnik.

- Na przykład co?

- Na przykład pisać książki.

Ginny powoli pokręciła głową i skrzyżowała ręce na piersiach.

- Nie miałam pojęcia, że chcesz pisać książki.

- Owszem - Hugh sięgnął po grzanekę. - Mam wspaniały pomysł, tylko że będąc odpowiedzialny za pismo i za wasze wychowanie, nie miałem na to czasu.

Ginny wypła łyk kawy. Musiała jakoś pobudzić serce do działania.

- Carrie i ja jesteśmy już dorosłe. Ona wyjechała do college'u, ja zajmuję się swoją karierą - mówiła, starając się opanować przerażenie. - Oczywiście, masz prawo zrobić, co tylko zechcesz. Nie potrzeba zatrudniać nowego naczelnego. Radziłam sobie z tym od lutego, poradzę i nadal - udało się jej uśmiechnąć promiennie.

Hugh również skrzyżował ręce na piersiach i wystawił podbródek.

- Nie.

To słowo legło pomiędzy nimi kamieniem.

Ginny patrząc na ojca uświadomiła sobie, że po raz drugi w swoim życiu widzi go takim nieprzejednanym. Wyraz oczu tego zazwyczaj ustepliwego człowieka zdołałby w tej chwili powstrzymać szarżującego byka. To spojrzenie powinno być dla niej ostrzeżeniem, ale wyprostowała się i oparłszy dłonie o blat damasceńskiego stolika, ruszyła do potyczki.

- Tato, sam mówiłeś, że dobrze sobie radzę.

Nie było to w pełni zgodne z prawdą. Hugh chciał w ten sposób dodać jej otuchy. Odkąd przejęła obowiązki redaktora naczelnego, tygodnik doświadczył wszystkich możliwych kłopotów, od rosnących kosztów poczynając, na psującej się maszynie drukarskiej kończąc. A przecież tak bardzo się starała.

- Owszem - przyznał. - Ale nie musisz dłużej tego robić. Nie ma takiej potrzeby.

Oboje doskonale wiedzieli, o czym mowa. Gdy wróciła przed siedmioma miesiącami do domu, rozpaczliwie potrzebowała zająć się czymś. Praca pozwalała odsunąć jej myśli od faktu, że w wieku dwudziestu trzech lat, miała za sobą nieudane małżeństwo.

- Ale tato, ja chcę to robić - poprosiła.

Wierzyła, że jeszcze trochę, a wszystko doprowadzi do porządku.

- Nie rób takiej nieszczęśliwej minki, dziewczyno. To już nie działa na mnie od lat - uśmiechnął się Hugh. - No, zgoda, może od paru dni. Klamka zapadła - pochylił się nad stołem zaglądając jej w oczy. - Czy nie widzisz, że cię nabieram? Że usiłuję to ukryć?

- Nabierasz mnie? - spojrzała z niedowierzaniem. - Jak mogłeś mi to zrobić?

- Bo jestem zbyt zależny od ciebie. Kiedy zmarła mama, miałaś zaledwie dwanaście lat. Carrie siedem. Moje postępowanie po śmierci Nancy nie jest dla

mnie powodem do dumy. Straciliście zarazem matkę i ojca. Zanim udało mi się wyjść z depresji i alkoholizmu, zajmowałaś się wszystkim, od gotowania, po sprawdzanie dzienniczka Carrie. Wygodnie było przerzucić na ciebie obowiązek zajmowania się domem, kiedy chodziłaś do szkoły średniej. Do pewnego stopnia uchylałem się w ten sposób od odpowiedzialności.

- Nie ma sprawy, tato. Lubię być zajęta.

- O to właśnie chodzi. Zajmowałaś się tym, co należało do mnie. Zrezygnowałaś z wszystkich przyjemności.

- Miałam swoje przyjemności - westchnęła i pokręciła głową. - Tato, czemu nagle ogarnęło cię poczucie winy z powodu mojej przedwczesnej dojrzałości?

- Ponieważ znów postąpiłem tak samo. Przez całą wiosnę i lato prowadziłaś „Heralda”, pełniłaś obowiązki naczelnego, płaciłaś rachunki, przyjmowałaś ludzi do pracy, podczas kiedy tak naprawdę chciałaś być reporterem. To zbyt wiele obowiązków. Rzadko wracałaś do domu przed siódmą, schudłaś pięć kilo i ani razu nie wyszłaś nigdzie z przyjaciółmi.

- Schudłam z zupełnie innego powodu a... jakoś nie miałam ochoty z nikim się widywać - Ginny bezradnie rozłożyła ręce. - Oprócz tego, byłam ci potrzebna.

- I nadal jesteś, ale nie widzę powodu, żebyś robiła wszystko naraz. Dlatego zatrudniłem nowego naczelnego. Będziesz mogła zająć się reportażami. O to ci przecież chodziło, prawda?

- No, tak.

- A więc postanowione - westchnął z zadowoleniem Hugh.

Nagle złapał go gwałtowny atak kaszlu.

- Nic ci nie jest, tato? - zerwała się z krzesła.

- Nic, nic - odparł, przepłukując podrażnione gardło kawą.

Ginny widząc, że kaszel mija, usiadła z powrotem w krzesło i uniosła dłoń do ust. Wyglądało na to, że ojciec zaplanował całą tę historię z wycofaniem się z interesu, bo Ginny wciąż była rozbita wewnętrznie. Zawsze dotąd potrafiła

pochlebstwami skłonić go do ustępstw, tym razem nawet nie warto było próbować.

Musiała przyznać, że miał sporo racji. Zarządzanie tygodnikiem było o wiele trudniejsze, niż przypuszczała. Często padała wieczorem na łóżko, zastanawiając się, jak ojciec, dziadek i pradziadek potrafili wydawać pismo składane ręcznie. Pomimo wyższego wykształcenia i pomocy komputerów nie umiała działać równie sprawnie, jak oni. Rzadko wspominała ten krótki okres w swoim życiu, kiedy była reporterką w Memphis.

- Chyba nie zamierzasz ze mną walczyć, co Ginny? - spytał Hugh. - Rozumiesz, że to dla naszego dobra. Pomyśl tylko, jak to wszystko ułatwi. Zacznę wreszcie książkę.

- No cóż, nie będę...

Przerwał jej kolejny atak kaszlu. Ojciec pochylił się tak, że aż dotknął blatu stołu. Srebrna zastawa zabrzęczała.

- Nie kłóć się ze mną - wykrztusił. - Tak będzie lepiej.

- Tak, tato - zgodziła się niechętnie, znów zrywając się z krzesła. - Czy mam zadzwonić po doktor Clay?

Hugh pomachał ręką.

- Nie, już w porządku - otarł łzy serwetką i dodał: - Nowy naczelny zaczyna pracę w poniedziałek.

Ginny klasnęła w dłonie i gwałtownie opadła na krzesło.

- Co? Za dwa dni?

- Im wcześniej, tym lepiej - powiedział raźniejszym głosem Hugh. - Pomyśl tej książki kołacze mi się w głowie od dziesięciu lat. Chcę załatwić wszystko i skupić się na niej. Nie masz chyba nic przeciwko temu?

Ginny zachichotała histerycznie. Przeciągnęła palcami po włosach. Spinka upadła z brzękiem na podłogę.

- Na Boga, nie! Czemu miałabym mieć coś przeciwko temu, że w ciągu dwóch dni zmieniasz całe moje życie?

- Cieszę się, że podchodzisz w ten sposób do sprawy, kochanie - uśmiechnął się promiennie Hugh.

Z apetytem zabrał się do grzanki posmarowanej dżemem.

Ginny popatrzyła na niego podejrzliwie. Do tej pory omawiał z nią wszystko i nim podjął jakąś decyzję, zawsze pytał o zdanie.

- Kogo przyjąłeś na to stanowisko, tato? Znam go?

Na twarzy ojca pojawił się na chwilę strapiony wyraz, po czym nadal mając usta pełne jedzenia, powiedział coś, co zabrzmiało jak „Breff Claloo”. Ciarki przebiegły po plecach Ginny.

- Kto? Jak powiedziałaś?

Ojciec z niewyraźną miną długo przeżuwał kawałek grzanki, wreszcie unikając jej wzroku rzekł:

- Bret Calhoun.

RS

## ROZDZIAŁ DRUGI

Serce Ginny podskoczyło zupełnie jak pod wpływem szoku elektrycznego.

- Bret? Żartujesz chyba! Tylko nie on! - wypowiadając jego imię poczuła bezsensowny przyływ radości. Stłumiła w sobie to uczucie. - Tato, dlaczego, na litość Boską, przyjąłeś do pracy w „Heraldzie” mojego byłego męża?

- Bo najlepiej się do tego nadaje.

- Przecież on jest łowcą sensacji, nie wydawcą!

- Ale teraz, kochanie, Bret postanowił się przekwalifikować.

- Niemożliwe.

Hugh wyglądał jak człowiek otoczony przez sforę wilków.

- Bret ubiegał się o tę pracę, a ponieważ ma najwyższe kwalifikacje, przyjąłem go.

Szok i zdziwienie Ginny zamieniło się w zimną wściekłość. Wyprostowała się, rysy jej stężały.

- Nie mogę wprost w to uwierzyć.

- A jednak to prawda - Hugh zakaszłał, zasłaniając usta pięścią. - Postanowił wynieść się z dużego miasta, zwolnić nieco tempo i osiąść bliżej rodziny. Wiesz, że tu mieszka jego brat, Sam. Matkę ma w Wirginii, a Laura za parę miesięcy spodziewa się dziecka - Hugh upił nieco kawy.

Posłał Ginny spojrzenie, w którym prosił o wyrozumiałość.

Ginny przyjrzała mu się uważnie i zaniósła się szalonym śmiechem.

- Tato, ktoś zakpił sobie z ciebie. Bret, owszem, kocha swoją rodzinę, ale nie na tyle, by opuścić Memphis, chyba że dla większej i lepszej gazety.

- Mylisz się, moja mała Ginny. Bret chce się przenieść tutaj, gdzie życie jest mniej wyczerpujące.

- To ci dopiero - pokręciła głową, usiłując ukryć zmieszanie. - Postawmy sprawę jasno. Mówimy o moim byłym mężu: metr osiemdziesiąt wzrostu, szare



oczy, włosy blond - z westchnieniem dodała jeszcze w myślach, że jest inteligentny i zmysłowy.

- Rzeczywiście o nim. To znakomity dziennikarz.

- Możliwe, jednak nie sprawdził się jako mąż.

- Skąd wiesz? Pozwoliłaś mu spróbować tylko przez pół roku.

Dotknęło ją to do żywego.

- Tato, myślałam, że mnie rozumiesz.

- Owszem, kochanie - odparł, wyciągając przez stół rękę do zgody. - Przepraszam. Nie powinienem był tego mówić. Chciałem ci tylko wyjaśnić, czemu go zaangażowałem. Nie tylko nadaje się na to stanowisko, ale sam o nie zabiegał.

Ginny aż zagotowała się ze złości. Czowała, że zaraz wybuchnie.

- O wiele prościej byłoby przyjąć na jego miejsce kogoś innego - tknięta nagłą myślą spojrzała z niepokojem na ojca. - Chyba Bret nie jest chory?

- Nie, czemu pytasz?

- Przypuszczam, że chce się przenieść do zapadłej Południowej Karoliny, żeby podreperować zdrowie lub coś w tym rodzaju.

- Pragnie tylko być bliżej rodziny - powtórzył Hugh.

- Więc bez kłopotów może dostać pracę u swojego brata. Odmawiam jakiegokolwiek współpracy z Bretem - Ginny nałożyła sobie obficie dżemu na grzanekę.

- A to czemu? - zapytał prostując się Hugh. - Przecież podobno już ci na nim nie zależy.

- Absolutnie - odparła i na poparcie swych słów zaczęła jeść.

- Nie może dotknąć cię ktoś, w kim nie jesteś zaangażowana emocjonalnie, prawda?

Przez chwilę Ginny wydawało się, że ojciec zrobił przebiegłą minę.

- To prawda, ale...

- Kiedy wróciłaś do domu zeszłej zimy, powiedziałaś mi, że nigdy nie

kochałaś Breta. To było tylko zauroczenie.

- Zgadza się.

- Twierdziłaś, że cię oszołomił, że nie byłaś jeszcze przygotowana do małżeństwa.

- Ależ, tato..

- Powtarzam tylko, co od ciebie usłyszałem - podniósł rękę Hugh. - Czyżbym coś przekręcił?

Ginny wyduła wargi. Zaczęło do niej docierać, czemu ojciec zyskał sobie sławę dziennikarza bezlitośnie wyduszającego informacje z każdego, z kim przeprowadzał wywiad.

- No, nie - przyznała. - Co nie znaczy, że zgadzam się z nim pracować.

Ojciec przybrał cierpiętniczy wyraz twarzy.

- Myślałem, że wydorosłaś przez te parę miesięcy.

- Owszem!

- Zdawało mi się, że potrafisz oddzielać sprawy zawodowe od osobistych, nawet gdy w grę wchodzi twój były mąż.

- Bo potrafię.

W oczach Hugh'a pojawiła się nadzieja. Miał minę kota, zbliżającego się do miseczki ze śmietaną.

- Doskonale. Zatem nie ma się o co kłócić, a ja nie będę musiał rozmawiać z kolejnymi kandydatami.

Grzanka wypadła Ginny z ręki.

- To śmieszne. Nic nie wspominałaś o innych kandydatach na to stanowisko.

- Nie chciałem ci zawracać głowy - odparł ponuro Hugh. Nagle zmienił temat.

- Ale nie rzucisz chyba pracy przez wzgląd na Breta?

- Miałabym opuścić rodzinne pismo? Nigdy w życiu.

- Doskonale. Doskonale.

Ginny poczuła, że została gładko wciągnięta w pułapkę, która zatrzęsnęła się

za nią. Zakręciło się jej w głowie.

- Tato, nie rozumiem, po co robisz to wszystko.

- Już ci tłumaczyłem, podczas choroby pojąłem, że życie jest zbyt krótkie, by je marnować. Poświęciłem „Heraldowi” wiele lat, ale tak naprawdę wydawanie pisma nigdy mnie nie pociągało, w przeciwieństwie do mojego ojca i ciebie.

Zabrzmiało to bardzo szczerze.

- Nie miałam o tym pojęcia.

- Mniejsza z tym - powiedział Hugh i chrząknął. - Zamierzam ruszyć z książką, a „Herald” jest w dobrych rękach.

- Tylko czemu akurat w rękach Breta Calhouna? - spytała, opierając czoło o rękę.

Zamknęła oczy.

- Bo jest najlepszy - odparł po chwili milczenia Hugh. Znow zaczął kasłać.

Przerażona Ginny otworzyła oczy i zobaczyła, że twarz ojca zrobiła się czerwona. Zerwała się na nogi i podbiegła do niego.

- Nic mi nie jest - powiedział odsuwając jej rękę.

Wstał z wysiłkiem. Przez chwilę starał się złapać oddech.

- Tato, kochanie, naprawdę uważam, że powinnam zadzwonić do doktor Clay. Nie zdarzało ci się to od tygodni. Może to nawrót?

- Nie bądź śmieszna - parsknął. - Nie życzę sobie, żebyś dzwoniła do doktor Clay. Ta stara histeryczka tylko pasie mnie jakimiś witaminami.

- To dobra lekarka.

- Tak, wiem, ale potrzeba mi jedynie odrobiny świeżego powietrza - grzmotnął pięścią w stół. - Umówiłem się z przewielebnym Mintnorem na ryby. Pojedziemy nad jezioro i spróbujemy złapać białego zębacza, którego ksiądz widział tam ostatnio.

Ginny zakryła dłonią usta.

- Na ryby? Chyba zwariowałeś! Przecież ledwo dyszysz!

Hugh poprawił zmięty kołnierzyk koszulki. Przekrzywiła go Ginny, usiłując wymacać puls.

- Wszystko będzie dobrze. Po prostu świetnie.

- Pociesza mnie tylko, że Dave jest księdzem - Ginny pokręciła głową na widok zmierzającego w stronę drzwi ojca. - Będzie się musiał pomodlić o cudowne uzdrowienie.

High hałasował przez chwilę w pomieszczeniu gospodarczym. Potem trzasnęły drzwi wejściowe.

Oszołomiona Ginny patrzyła na prawie nietknięte jedzenie. Czy to możliwe, że przed pół godziną zasiedli do miłego, sobotniego śniadanka? W tym czasie całe jej życie stanęło na głowie.

Podeszła do okna. Odprowadzała ojca wzrokiem. Rozmawiał z Jimmym Blainesem, dziesięcioletnim synem Margie. Obaj gwałtownie gestykulowali. Wreszcie Hugh sięgnął do kieszeni i dał chłopcu trochę drobnych. Jimmy ze szczęśliwą miną popędził do domu, a Hugh wsiadł do swojej półciężarówki i odjechał. Widocznie zamówił u małego robaki na przynętę.

Ginny uśmiechnęła się smętnie. Co za ojciec! Najpierw szykuje taką bombę, a potem najspokojniej jedzie na ryby. Ręce opadają.

Oparła się o mahoniowy kredens. Kupiła go i odrestaurowała matka, kiedy Ginny miała zaledwie dziesięć lat. Obserwowała, jak sąsiedzi zabierają się do rytualnych sobotnich zajęć - strzyżenia trawników i mycia aut.

Czemu Hugh zatrudnił Breta? Podejrzewała, że ojciec kierował się jakimiś wyższymi względami, ale nie mogła uwierzyć, żeby chciał ich ze sobą pogodzić. Był przecież nieugiętym przeciwnikiem tego małżeństwa i to nie tyle ze względu na wiek Ginny, co na pośpiech, w jakim je zawierała. Poza tym wiedział, jak bardzo rozczarowana wróciła do domu po rozstaniu z Bretem.

Odwróciła się od okna. Nie, ojciec z pewnością nie zamierzał jej zranić. Rozumiał, że jej małżeństwo było bolesną pomyłką.

Oczywiście, nie można było przewidzieć, że Bret Calhoun nie dojrzał do związku małżeńskiego. Skąd mogła przypuszczać, że stawia na pierwszym miejscu pracę i będzie zaniedbywał żonę?

Dlaczego więc Bret przyjechał do Webster, by zatrudnić się w prowincjonalnym piśmie?

Ginny przyłożyła dłonie do splotu słonecznego i zaczęła zastanawiać się nad tym wszystkim. Została bardzo głęboko dotknięta. Po pierwsze, mimo wszelkich starań zawiodła jako naczelny „Heralda”. A teraz w dodatku przejmuje go jej były mąż.

Z drugiej strony, ulżyłoby jej, gdyby trudy związane z wydawaniem pisma wziął na siebie ktoś inny. Byle nie Bret.

Po chwili jednak wyprostowała się. Ta sytuacja stanowiła dla niej wyzwanie, a Ginny nie zwykła chować głowy w piasek. Nieważne, że chodzi tu o jej byłego męża. Nie będzie kryć się po kątach. W końcu nie jest już tą zaślepioną miłością dziewczyną, która wyszła za niego. Samodzielnie wydawała pismo i opiekowała się chorym ojcem.

Wybiegła z kuchni, złapała torebkę i pojechała tam, dokąd udałaby się każda kobieta przed spotkaniem ze swoim byłym mężem - na zakupy i do fryzjera.

W poniedziałek rano Ginny wysiadła z samochodu ubrana w czerwono-białą marynarkę, wąską, białą spódniczkę i pantofelki na siedmiocentymetrowym obcasie. Zamknęła drzwiczki i przyglądała włosy. W sobotę zdecydowała ostrzyć się na pazia. Sądziła, że dzięki temu będzie wyglądała poważniej. Marynarka była zdecydowanie za ciepła jak na upalny wrześnieowy poranek, ale Ginny hołdowała starej maksymie - jak cię widzą, tak cię piszą.

Zadowolona ze swego wyglądu wzięła głęboki oddech i ruszyła do wejścia zbudowanego z cegły gmachu, który od osiemdziesięciu lat mieścił gazetę miasta Webster.

Czuła lekki żal do ojca. Unikał jej przez cały weekend, spędzając czas nad jeziorem. Gdyby nie wiedziała, jak bardzo chorował przed paroma miesiącami, mogłoby to wydać się jej podejrzane. Rozumiała, że Hugh potrzebuje teraz odpoczynku.

Nie miała jednak najmniejszych wątpliwości. Ojciec nadużył uczucia, jakie żywiła do niego, by przeforsować swój plan zaangażowania Breta.

Na samą myśl o Brezie poczuła wewnętrzny skurcz, ale postanowiła nadrabiać miną.

- Jak cię widzą, tak cię piszą, Ginny - mruknęła.

Zadarła spódnicę powyżej kolan i ruszyła po schodach, wpadając do środka niczym szkarłatny cyklon.

Wydawnictwo było drugim domem Ginny. Wnętrze zdobiła odnowiona niedawno ciemna boazeria sprzed trzydziestu laty. Złota wykładzina dywanowa liczyła sobie prawie tyle lat co Ginny. Za wysokim, biegnącym przez połowę pomieszczenia kontuarem siedziała Doris Beekman, recepcjonistka. W poniedziałki Doris zawsze pojawiała się pierwsza, by otworzyć korespondencję i przygotować kawę.

Za plecami Doris wisiała tablica, na której kolorowymi pisakami zaznaczano, czy dany pracownik przebywa w redakcji czy w terenie. Ginny zerknęła na tablicę i zorientowała się, że w budynku jest jedynie Doris - i najprawdopodobniej Bret Calhoun.

Zdyszana podbiegła do recepcjonistki.

- Gdzie on jest?

- Wyglądasz na bardzo zdenerwowaną.

- Tym razem naprawdę mam powody - westchnęła Ginny. - To wszystko stało się tak nagle i jest takie...

- Przytłaczające - dodała ze współczuciem recepcjonistka.

Ginny skinęła głową z wdzięcznością, że choć przez chwilę nie musi udawać

zawodowej obojętności i może pogadać jak kobieta z kobietą. Zawsze chętnie zwierzała się Doris, która do pewnego stopnia zastępowała jej matkę. To w jej ramionach Ginny płakała po załamaniu się małżeństwa z Bretem, a w sobotę po rozmowie z Carrie zadzwoniła do Doris, informując ją o decyzjach Hugh'a. Reszta zespołu dowie się o tym na porannym zebraniu.

- Widziałaś go? - spytała Ginny, uderzając nerwowo palcami w pasek torebki.

Potem zaczęła przeglądać najnowsze fotografie, leżące w pudełku na biurku Doris. Dziennikarze składali tam dodatkowe odbitki wszystkich zdjęć dotyczących miasta i regionu. Mieszkańcy Webster mogli zabrać je sobie na pamiątkę.

- Owszem, rozmawialiśmy przez chwilę - Doris otworzyła kopertę.

Wysypały się z niej kolejne rachunki. Wyglądało na to, że wszyscy dostawcy umówili się, żeby przysyłać je w tym samym terminie.

Ginny zerknęła z przerażeniem zastanawiając się, jak zapłaci wszystko naraz, ale przypomniała sobie, że to już nie jej zmartwienie.

- Tak? No i o czym mówiliście?

- O dokumentach, rzecz jasna.

- I co powiedział?

Doris obdarzyła ją przeciągłym spojrzeniem.

- Spytaj go. Nie jestem twoim szpiegiem. Osądzisz sama.

- Już go osądziłam - odparła niechętnie Ginny.

- To było dawno, teraz jest inaczej - powiedziała Doris i widząc, że Ginny nie odpowiada, dodała: - Każdy zrozumie, że praca pod kierownictwem Breta będzie dla ciebie o wiele trudniejsza niż dla reszty.

- Nie żartuj - wzdrygnęła się Ginny. Doris powtórzyła niemal dokładnie to, co powiedziała w sobotę przez telefon Carrie. - Chyba będę musiała przez to przejść. Myślę, że Bret jest w sali konferencyjnej.

Nie czekając na odpowiedź wykonała na zbyt wysokich obcasach przepisowy w tył zwrot i ruszyła w głąb holu. Postanowiła wejść do swojego biura, by zostawić

tam torbę, zanim ruszy na poszukiwanie Breta. Wielka torba psuła nieco wystudiowany wygląd, a poza tym Bret zawsze przekomarzał się z nią twierdząc, że nosi w niej więcej rzeczy, niż niejeden kraj eksportuje w ciągu roku. Oczywiście przesadzał. Ginny trzymała w niej jedynie najniezbędniejsze drobiazgi.

Po drodze minęła otwarte drzwi do gabinetu redaktora naczelnego, rzadko używanego podczas choroby Hugh'a. Odruchowo zajrzała do środka.

Ze zdumieniem zobaczyła, że Bret siedzi na fotelu ojca. Zwrócony twarzą do okna trzymał nogi na parapecie. Odchylił się głęboko do tyłu i bezmyślnie gapił na zewnątrz.

Ginny zamrugała nie wierząc własnym oczom. W ciągu pięciu miesięcy, kiedy pracowali razem, Bret, nieustraszony łowca sensacji, był w ciągłym ruchu. Nigdy nie widziała, żeby odpoczywał.

Teraz jednak najwyraźniej rozkoszował się słodkim nieróbstwem.

Jeszcze bardziej zdziwił ją jego strój. W Memphis ubierał się w kosztowne, szyte na miarę garnitury i ręcznie robione buty. Teraz bosa nogi Breta zdobiły sandaalki. Miał na sobie pogniecione, wypłowiałe dżinsy, białą koszulę z podwiniętymi rękawami i bez krawata.

Ginny patrząc na niego oddychała z trudem. Odżyły w niej wszystkie uczucia - żal, tęsknota a przede wszystkim złość. Wydawało się jej, że dawno wyzbyła się tych uczuć, ale na widok Breta powróciły ściskając jej serce.

Bret nie miał pojęcia o jej obecności i Ginny była wdzięczna losowi, że może przez chwilę swobodnie go obserwować. Ostatnim razem widziała się z nim w ziemi, gdy przyjechał do Webster żądając, by wyjaśniła, czemu od niego odeszła. Nieskładne tłumaczenia przyjął z ironią i nazwał ją tchórzem, nim wyszedł.

Na to wspomnienie jęknęła i opuściła wzrok.

Nagle uświadomiła sobie, że oboje odbijają się w szybie i Bret obserwuje ją również.

Odwrócił się i spojrzał na nią swymi szarymi oczami. Było jasne, że widział



wszystko. Czy zauważył, jak mocno bije jej pod marynarką serce? Strużkę potu, którą otarła znad górnej wargi? Czy poczuł oblewający ją żar?

Ginny opamiętała się. Oczywiście, że nie. W okamgnieniu rozluźniła się i weszła do gabinetu.

- Cześć, Bret - powitała go, gratulując sobie spokojnego tonu.

Ku jej zdumieniu w oczach Breta błysnęły iskierki humoru.

- Cześć, Ginny - odparł, z kocią zwinnością zrywając się na nogi. Powoli ruszył w jej stronę. - Czekałem na ciebie.

Ton jego głosu zmroził na chwilę Ginny, ale nie dała tego po sobie poznać. Spokojnie spłotła palce i potarła dłoń o brzeg wiszącej na ramieniu torby.

- Nie spóźniłam się chyba - powiedziała.

- Doprawdy? - spytał.

Zabrzmiało to dwuznacznie, więc nie odpowiedziała.

Bret przybrał niedbałą pozę, jakby zachęcając ją do zrobienia kolejnego kroku.

Wygląda zupełnie inaczej, pomyślała Ginny. Jest jakby bardziej rozluźniony i... szczęśliwy. Na przekór sobie poczuła nawrót uczucia...

- Nieźle wyglądasz - odezwała się obojętnym tonem, siląc się przy tym na uprzejmy uśmiech.

- Ty wyglądasz bombowo - uśmiechnął się smętnie Bret. - Wybacz, jako dziennikarz powinienem zdobyć się na coś oryginalniejszego.

- Dziękuję - wykrztusiła z trudem.

- Nie mogę jednak powiedzieć, żebym był zachwycony twoją nową fryzurą. Wolałem cię z długimi włosami.

Długość włosów Ginny stanowiła stały przedmiot sporów.

- Nie musisz ich myć ani suszyć.

- Służę pomocą.

To prawda. Przypomniała sobie jak delikatnie rozczesywał jej splątane, mokre

włosy. Rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

- To stare dzieje - powiedziała i starając zachować dystans, dodała: - Jestem zdziwiona, że odpoczywasz sobie w pracy.

- Hej, czy ojciec nie mówił ci, że przyjechałem tu, by prowadzić mniej męczące życie?

- Nie uwierzę, dopóki nie zobaczę - odparła, obrzucając go sceptycznym spojrzeniem. - A poza tym, u nas pracuje się trzymając nogi na podłodze, nie na parapecie.

- Skoro jestem tu naczelnym - wzruszył ramionami Bret - mogę robić to, na co mam ochotę.

Takie buty! Ginny nie zdołała ukryć, że ją to ubodło.

- Czy to również oznacza, że zajmujesz biuro ojca? - spytała hardo.

- Owszem - Bret zatoczył ręką koło. Mimo że nie przyniósł tu jeszcze nic własnego, Ginny miała wrażenie, że już zdołał odcisnąć swoje piętno na tym pomieszczeniu. - Hugh dał mi wolną rękę we wszystkim, co pomoże znów postawić „Heralda” na nogi. Zamierzam sprawić, żeby pismo było dochodowe i jednocześnie pozostało ważnym lokalnym organem.

Ginny spuściła głowę, pozwalając, by włosy przesłoniły jej twarz i ukryły wrażenie, jakie wywarły na niej słowa Breta.

W ciągu ubiegłych miesięcy bezskutecznie starała się z całych sił połączyć te oba cele. Wiedział o tym również jej ojciec i banki udzielające kredytu na papier. Prawdę mówiąc, wszyscy w Webster wiedzieli o jej porażce. Najbardziej jednak bolało Ginny to, że powszechnie za przyczynę niepowodzenia uważano jej płeć. Nikt nie brał pod uwagę braku doświadczenia w kierowaniu jakąkolwiek firmą, nie mówiąc już o wydawnictwie.

Zacisnęła dłonie na delikatnej skórze torebki. Gdyby miała nieco więcej czasu, poradziłaby sobie na pewno.

Była zdumiona, gdy Bret podszedł do niej i wziął ją za rękę. Chciała ją

wyrwać, ale trzymał mocno.

- Nikt nie spodziewał się, że poradzisz sobie z papierkową robotą, Ginny - powiedział ze współczuciem.

Jej oczy napełniły się łzami. Szybko odwróciła głowę.

- Robiłam, co mogłam.

- Jestem tego pewien - rzekł puszczając jej rękę. - Nie oprowadzisz mnie po firmie?

Skinęła głową, poprosiła go, by chwilę zaczekał i pobiegła do swego pokoju. Wepchnęła torebkę do górnej szuflady biurka. Przez ten pokój przewinęło się mnóstwo użytkowników, a każdy dziennikarz pozostawił jakieś pamiątki uwieczniające wydarzenia, które miały miejsce na dziesiątki lat przed przyjściem na świat Ginny. Oprawione w ramki wycinki donoszące o klęskach żywiołowych wisiały obok pozdrowień odwiedzających redakcję dostojników. Znajdował się tam nawet autograf jednego z dalszych krewnych jakiejś europejskiej monarchii, który zwiedzał Stany Zjednoczone w czasie szalonych lat dwudziestych.

Odrapane, drewniane biurko Ginny wyglądało tak, jakby wyniesiono je z okopów pierwszej wojny światowej. Zagracały je najróżniejsze rzeczy, z końcówką supernowoczesnego komputera włącznie. Ginny wyprostowała się i przejrzała w małym, wiszącym obok okna lusterku. Pomimo szoku, jaki przed chwilą przeżyła, prezentowała się całkiem nieźle. Ze zdumieniem spostrzegła, że w drzwiach stoi Bret. Gdyby nie wpatrywał się w nią tak intensywnie, wzięłaby zapewne parę głębokich oddechów i przycisnęła dłoń do żołądka.

Zdawało się jej, że Bret zrobił taką minę, jakby wszystko wyczytał z jej twarzy, ale szybko zdobył się na uprzejmy uśmiech. Ginny doszła do wniosku, że to wina jej bujnej wyobraźni.

- Jestem gotowa - powiedziała raźnie.

- Świetnie - odparł Bret głosem, który zdradzał co najwyżej cierpliwość.

Odsunął się od framugi, przepuszczając ją przodem.

Kiedy mijala go, doszła do wniosku, że najlepiej będzie zachowywać się tak, jakby widzieli się po raz pierwszy w życiu.

- Czy pracowałeś kiedykolwiek w małomiasteczkowej gazecie?

Bret przechylił głowę zastanawiając się, dlaczego Ginny zadała mu to pytanie.

- Przecież wiesz, że nie, Ginny.

Najwyraźniej nie chciał podjąć gry, ale Ginny ciągnęła dalej. To małe przemówienie przygotowywała przez cały weekend.

- Nie przywykłeś do tego. Gazety w małych miasteczkach zajmują się czymś więcej niż tylko podawaniem wiadomości. Opisują również życie swojego miasta, jego odrębność i na tym polega cała sztuka.

- Czyli zajmują się ni mniej ni więcej tylko przekazywaniem informacji - kwaśno zauważył Bret. - Nie istotne, czy sprawa dotyczy sprzedaży w miejscowym sklepie z towarami mieszanymi, czy tego, że burmistrz storpedował plan rozbudowy miasta. To wszystko są informacje.

- Tu chodzi o coś więcej!

Bret zeszywniał i Ginny przez chwilę ujrzała w nim raczej wściekłego męża niż uprzejmego nieznajomego.

- Wiem, że twoja rodzina wydaje to pismo od pokoleń, ale to tylko praca, nie dziecko.

Ginny zjeżyła się i oparła ręce na biodrach.

- I kto to mówi? W Memphis mieszkałeś w redakcji albo włóczyłeś się gdzieś ze swoimi informatorami lub glinami. Nigdy też nie widziałam, żebyś... - z trudem ugryzła się w język. O to również wiecznie się kłócili.

Bret popatrzył na nią niczym jastrzęb na swą ofiarę.

- Czy dlatego odeszłaś ode mnie? Z powodu mojej pracy?

Ginny zaczęła z odpowiedzią do chwili, kiedy poczuła się wewnętrznie uspokojona.

- Jeśli mamy pracować razem, nie możemy wywlekać publicznie naszych

prywatnych spraw.

- Akurat! Co nas przed tym powstrzyma?

Ginny nie odpowiedziała. Opanowała się i zaprowadziła Breta do sali redakcyjnej. Z dumą pokazała mu zainstalowane przed kilku laty końcówki sieci komputerowej, stanowiska, przy których oprócz stałego dziennikarza pracowało jeszcze dwóch innych zatrudnionych na pół etatu. Pokój był pusty, bo wszyscy trzej zajmowali się tematami, które Ginny zleciła im w ubiegłym tygodniu.

- Ponieważ „Herald” wychodzi w środy, piątki, poniedziałki i wtorki pracuje się tu w niezłym tempie. Oczywiście, to nie to, co w Memphis.

- No myślę - mruknął Bret, szybko przesuwając wzrokiem po biurkach, komputerach i faksie. Ginny podejrzewała, że jeden rzut oka wystarczy mu, by zapamiętać cały rozkład pokoju. - Dlatego właśnie taka praca mi odpowiada.

- Bardzo mnie to cieszy - odparła. Gotowa była przysiąc, że w oddechu Breta słyszy stłumiony śmiech. Spojrzała na niego, minę miał obojętną. Weszli do następnego pomieszczenia. - To nasza księgowość.

Bret spytał ją o ceny ogłoszeń i zaproponował podwyżkę. Ginny, która sama zastanawiała się nad tym, żałowała, że nie zrobiła tego przed jego przybyciem.

„Herald” był jednym z tych nielicznych prowincjonalnych tygodników, które posiadały własną, równie starą jak on drukarnię. Gdy Ginny wprowadziła Breta do wielkiego pomieszczenia z maszynami offsetowymi, nowy naczelny aż pojaśniał w uśmiechu.

- Ależ tu bałagan - stwierdził, przyglądając się z nie ukrywaną przyjemnością poplamionym farbą drukarską szmatom i narzędziom leżącym obok jednej z maszyn.

- Tu zawsze tak wygląda - wyjaśniła Ginny rozluźniona widokiem uśmiechniętego Breta. - W zeszły piątek drukarz walił drągiem w wał napędowy i kłął na całe gardło - uśmiechnęła się również. - Ale była heca.

- Drukarze to odrębny gatunek ludzi. Czy naprawił napęd?

- Myślę, że maszyna ruszyła po prostu ze strachu.

Bret odrzucił głowę w tył i ryknął śmiechem.

Ginny na chwilę przymknęła oczy i przypomniała sobie czasy, gdy oboje często zaśmiewali się do łez. Nagła zmiana w wyrazie twarzy Breta zdradziła, że myślał o tym samym. Ginny oprzytomniała, umilkła i zaległa niezręczna cisza.

Spojrzeni sobie w oczy. Być może z powodu bezpośredniej bliskości mężczyzny, który zawładnął jej snami, Ginny poczuła się nieswojo.

- Ginny... - Bret wyciągnął rękę w jej stronę.

Cofnęła się.

- Chodź, pokażę ci ciemnię - powiedziała, nerwowym ruchem odgarniając włosy z ucha i skinęła głową w stronę ciężkich drzwi w połowie korytarza. - Musimy bardzo uważać...

- Umiem zachować się w ciemni - Bret wziął ją za rękę i poprowadził do drzwi. Zapukali, by nagłym wtargnięciem nie przeświecić wywoływanego filmu i gdy upewnili się, że nikogo nie ma wewnątrz, Bret otworzył drzwi i wpuścił Ginny do środka. - Zobaczmy, jakie tu mamy wyposażenie.

- Zaczekaj - zaprotestowała, gdy wciągnął ją głębiej. - Musimy...

- Co? - zatrzasnął drzwi.

W czerwonym świetle przypominał diabła.

- ...uważać na drzwi - dokończyła niepewnie, westchnęła z rezygnacją i otarła czoło wierzchem dłoni. - Moje gratulacje, Bret. Właśnie udało ci się nas zatrzasnąć.

Bret skrzyżował ramiona na piersiach i oparł się o masywną, stalową framugę.

- Wiem, Doris powiedziała mi o popsutym zamku.

Ginny spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- To dlaczego, na litość boską, to zrobiłeś?

- Żebyśmy mogli porozmawiać - Bret zapalił wiszącą nad głową neonówkę. -

Doszedłem do wniosku, że sensownej odpowiedzi doczekam się jedynie, gdy uda

mi się ciebie gdzieś uwięzić.

- Odpowiedzi?

- Tak. Chcę wiedzieć, dlaczego odeszłaś ode mnie.

## ROZDZIAŁ TRZECI

- Och, Bret, to z pewnością nie jest ani właściwy czas, ani miejsce żeby...

- W porządku, wskaż mi zatem stosowne twoim zdaniem miejsce i czas - gwałtownie odsunął się od framugi, widać było, że jest wściekły. - Nie chciałaś rozmawiać ze mną w zimie, kiedy przyjechałem do ciebie. Boże, kiedy wróciłem ze szpitala, zastałem pusty dom i ani słowa wyjaśnienia.

Ginny cofała się, aż przywarła tyłem do stołu, na którym wywoływano zdjęcia. Potrąciła kuwetę i poczuła delikatny, kwaśny zapach utrwalacza. Niechętnie przesunęła się dalej wzdłuż stołu. Wyglądało na to, że Bret jest gotów prowadzić tę rozmowę wbrew jej woli.

- Mówiłam ci bez przerwy, że nie wytrzymam dłużej patrząc, jak ryzykujesz życiem, ani tych przedłużających się godzin pracy. Potem zostałeś ranny w strzelaninie między policją a handlarzami narkotyków. Nie mogłam już tego znieść - spojrzała na niego zbolalym wzrokiem. - Popełniłam błąd...

- Odchodząc ode mnie.

Bret, który był coraz bliżej, cofnął się teraz i popatrzył na nią ze złością i niesmakiem.

- Myślałem, że wyszłaś za mnie z miłości.

Ginny zmusiła się do spuszczenia wzroku i spojrzała na przyciśnięte do brzucha ręce. Rozluźniła je z wysiłkiem.

- Mnie się też tak zdawało - szukała w jego oczach zrozumienia. - Myliłam się jednak. Mimo że miałam dwadzieścia dwa lata, byłam bardzo naiwna. Skąd mogłam o tym wiedzieć?

- Ale wiedziałaś, jak powiedzieć „tak”.

- Małżeństwo to coś więcej niż sam ślub.

Bret odwrócił się od niej i przeszedł w głąb ciemni.

- Nie żartuj. Kiedy postanowiłaś zatrzymać panieńskie nazwisko, mogłem od razu domyślić się, że nie zamierzasz ze mną zostać.

- Chciałam zachować swoją tożsamość.

- Nic by jej nie zaszkodziła zmiana nazwiska.

- Owszem tak, ponieważ...

- Ponieważ nie miałaś do mnie zaufania - przerwał. - Małżeństwo wymaga odrobiny wiary.

- Miałam wierzyć, że ci się nic nie stanie? - odcięła się. Potem uniosła ręce w górę i wzięła dla uspokojenia głęboki wdech. - Mniejsza z tym. Znow zaczynamy się kłócić.

- Nie po raz pierwszy zresztą - westchnął Bret i przyglądał krótko obcięte włosy.

- Bret, nie wyobrażam sobie, żebyśmy mogli razem pracować - powiedziała stanowczo, mimo że kosztowało ją to mnóstwo wysiłku.

- Co? Zamierzasz porzucić „Heralda”? - Bret uniósł brwi w zdumieniu.

- Oczywiście, że nie!

- No cóż, ja w każdym razie nie zamierzam stąd odejść. A ty, jeśli rzucisz tę pracę, uciekniesz po raz drugi.

Ginny niechętnie przyznała mu w duchu rację. Podeszła do drzwi i zaczęła w nie walić, wzywając Doris na pomoc. Zastanawiała się przy tym gorączkowo, na jakich zasadach mogliby wspólnie pracować. Przypomniała sobie, jaka wściekła była na ojca za to, że wpakował ją w to wszystko. Zdołał ją jednak przekonać, że w końcu powinna ułożyć się z Bretem i zapanować nad swoimi zranionymi uczuciami.

Podskoczyła, gdy położył jej dłoń na ramieniu. W szarych oczach Breta kryła



się ironia.

- To jak będzie, Ginny? Zamierzasz znów uciekać?

Bret przekrzywił głowę i przyglądał się Ginny. Oparł ręce na biodrach i swobodnie opuścił ramiona. Wyglądał na bardzo pewnego siebie w przeciwieństwie do Ginny, która spoconymi palcami nerwowo szarpała klamkę. Miała ochotę go kopnąć, lecz jedynie spiorunowała wzrokiem.

- I co teraz zrobimy? - spytał prowokująco.

- Będziemy pracować razem. Oboje jesteśmy zawodowcami. Ja to wytrzymam, nie wiem jak ty.

- Słuszna uwaga, ze mną nic nie wiadomo. Jednak coś się w tobie zmieniło.

- Co? - zapytała podejrzliwie.

- Zaczynasz myśleć jak prawdziwy dziennikarz. Od kiedy to?

Ginny nie miała zamiaru odpowiadać na taką obelgę. Zaczęła więc walić w drzwi.

- Jedno tylko nie uległo zmianie - dorzucił Bret. - Wciąż jesteś bardzo nerwowa. Zastanawiam się, co cię tym razem wyprowadziło z równowagi. To, że się spotkaliśmy?

- Bret, jesteśmy parą dorosłych osób, którym przyszło pracować razem - odpowiedziała, siląc się na spokój. - Wszystko, co miało miejsce pomiędzy nami, nie powinno być wywlekane w firmie.

Bret odwrócił ją twarzą do siebie.

- To nie jest wielki koncern prasowy, a jedynie prowincjonalna gazetka w Południowej Karolinie.

- Wiesz, co mam na myśli - skwitowała krótko.

- A więc twierdzisz, że możemy wspólnie pracować, ze mną jako szefem, i nie przeszkodzą nam w tym nasze prywatne sprawy?

- Nie ma żadnych naszych prywatnych spraw - odwróciła wzrok, widząc rozbawienie w jego oczach. - A na pewno wspólnych.

- Rozumiem. To znaczy, że po pracy nasze prywatne życie będzie się toczyć oddzielnie?

GINNY przeczuwała, że kryje się w tym jakaś pułapka, ale tylko powoli skinęła głową.

- Zgadza się. Nie będziemy widywali się poza redakcją, tak więc nie ma to większego znaczenia.

- Może tak, może nie. Zobaczymy - wzruszył ramionami Bret.

GINNY chciała spytać go, co ma na myśli, ale w tej samej chwili Doris otworzyła drzwi.

- Przepraszam - powiedziała, spoglądając na lekko uśmiechniętą twarz Breta i zaczerwienioną GINNY.

- Telefon zadzwonił akurat, kiedy usłyszałam twoje pukanie i nie mogłam podejść.

- Nie ma sprawy - odparł Bret, otwierając szeroko drzwi przed GINNY i wskazując jej gestem dłoni wolną drogę. - Zadzwoń po ślusarza i dopilnuj, żeby jeszcze dziś przyszedł.

- Oczywiście, Bret - Doris spojrzała dziwnie na GINNY i poszła wypełnić polecenie nowego szefa.

GINNY niczego nie spostrzegła. Starła się dojść do siebie, szczęśliwa, że wyszła z ciemni. Spodziewała się, że będą kontynuowali rozmowę, lecz Bret powiedział tylko:

- Chciałbym się zobaczyć z zespołem. Może byś zwołała zebranie na dziesiątą? Przynieś mi również egzemplarze „Heralda” z ostatnich dwóch miesięcy. Muszę się zorientować w jego profilu.

- Jasne, Bret - odparła GINNY, chowając się za maską zawodowej obojętności.

- Świetnie. Zobaczymy się później. Daj mi znać, gdy już wszyscy się zbiorą - skwitował, pomachał jej ręką i poszedł.

Gdy zniknął za zakrętem, GINNY oparła się plecami o ścianę ciężko dysząc.

Poszło o wiele trudniej, niż się spodziewała. Wiedziała jednak, że ma rację. Wszystko ułoży się lepiej, gdy ograniczą stosunki do wyłącznie służbowych spraw. Gdy podjęła już tę decyzję, przeszła do magazynu, w którym trzymano stare numery.

Żółty dom w stylu kolonialnym nigdy nie wydawał się jej taki przyjazny. Późnym popołudniem słońce prześwitywało przez liście okalających go wierzb. Upał ustąpił miejsca orzeźwiającemu chładowi dodając jej sił.

Zadowolona z powrotu do domu, Ginny zaparkowała samochód na swoim miejscu w podwójnym garażu. Auta Hugh'a nie było.

- Ty tchórze - mruknęła, gramoląc się z torebką z samochodu. - Nadal mnie unikasz, co?

W domu wyjęła z lodówki sałatę i kurczaka w brytfance. W oknie kuchni odbijały się refleksy wody z basenu. Ginny uświadomiła sobie, że nadchodząca jesień nie pozostawi jej już wielu okazji do pływania.

Gdy tylko wstawiła brytfankę z kurczakiem do pieca i nastawiła minutnik, poszła na górę i przebrała się w zielonoszkarłatny, jednoczęściowy, fosforyzujący kostium kąpielowy. Włosy związała w koński ogon, schowała pod czepkiem kąpielowym, wzięła ze sobą olbrzymi ręcznik i pobiegła na basen.

Kiedy znalazła się w wodzie, dręczące ją napięcie ustąpiło. Uwielbiała poczucie swobody, jakie dawało jej pływanie. Po chwili przekreśliła się na grzbiet, zamknęła oczy i wolno poruszała nogami.

Dzień minął względnie znośnie. Tak, jak przypuszczała, pracownicy przyglądali się jej ze zdziwieniem, padły nawet jakieś pytania. Zastanawiano się, czy jej były mąż zdoła poprowadzić wydawany przez rodzinę Ginny tygodnik. Wyjaśniła krótko, że decyzję podjął Hugh i że jej to nie przeszkadza. Wiedziała, że nowina obleci błyskawicznie całe Webster.

Na spotkaniu z pracownikami Bret zachowywał się uprzejmie, ale stanowczo. Ginny usiadła w końcu sali, starając się porównać odmienionego Breta z człowie-

kiem, za którego wyszła za męża. Zdawało się, że zniknęła gdzieś z raca go pasja i ambicja. Był spokojny i pewny siebie, zdumiewając zespół propozycjami zmian, a Ginny zmianami, jakie zaszły w nim samym.

Chociaż wciąż była przygnębiona faktem, że Bret zajął jej miejsce, ulżyło jej, że zdjął z niej całą papierkową robotę. Zrobił to równie lekko, jak porwał ją do tańca tego wieczoru, gdy się poznali.

Ginny przestała rozpamiętywać przeszłość i odtworzyła sobie zachowanie pracowników.

Dziennikarze szanowali Breta za jego wiedzę i doświadczenie, drukarz był przerażony, a panie z księgowości gotowe były oddać mu się w niewolę.

Na myśl o ich żywym zainteresowaniu Bretem, Ginny poczuła śmieszny przypływ zazdrości. Przekreśliła się na brzuch i parokrotnie przepłynęła szybko długość basenu, rzadko wynurzając się dla zaczerpnięcia powietrza.

Wreszcie podплыła do brzegu i wyciągnęła rękę, by złapać za obmurowany cegłami brzeg. Namacała jakiś but. Podniosła wzrok i ku swemu zdziwieniu zaczerwienionymi od chloru oczami ujrzała Breta.

Przykucnął na brzegu i uśmiechał się do niej.

- Cześć, kochanie, wróciłem. Pomóc ci przy obiedzie?

Ginny ze zdumienia otworzyła usta i napiła się wody.

- B... Bret - wykrztusiła. - Co tu robisz?

- Chcę ci pomóc przy obiedzie - rozejrzał się ciekawie wokół i pokazał ręką na bratki i petunie, które Ginny zasadziła po drugiej stronie basenu. - Widzę, że bawiłaś się w ogrodnika. Przywiozłem bromelię, którą kupiliśmy w czasie naszego miodowego miesiąca. Jest u Sama i Laury. Przyniosę ją.

Nie musiał mówić nic więcej, jeśli rozmyślnie chciał wytrącić Ginny z równowagi. Natychmiast przypomniała sobie wieczór, gdy ją kupili naśmiewając się z wielkich, płaskich liści i najeżonych kolcami okrągłych kwiatów.

- Nie trzeba - zaprotestowała, przytrzymując się krawędzi basenu.

Bret uśmiechnął się tajemniczo.

Ginny miała ochotę pochylić głowę i zaszlochać.

- Jaki jest powód twojej wizyty? - spytała. - Coś nie gra w wydawnictwie?

- Bret jest moim gościem - odezwał się Hugh.

Ginny odplynęła kawałek, by zobaczyć coś oprócz Breta. Ojciec stał obok drzwi. Bardzo sprytnie. Gdyby mogła go dosięgnąć, udusiłaby go.

- Cześć, tato. Zastanawiałam się, gdzie się ukrywasz. Zaprosiłeś go na obiad?

- skinęła w stronę Breta.

- Właściwie, to nawet więcej niż na obiad - wtrącił Bret. - I niegrzecznie jest mówić o ludziach, jakby byli nieobecni.

- Co to znaczy, więcej niż na obiad? - spytała podejrzliwie Ginny.

- Zamierzam wynająć mu pokój nad garażem - odparł z niewinną miną ojciec.

- Cooo?

- To prawda. Hugh wspominał mi, że od miesiący stoi pusty i mógłbym z niego skorzystać.

Umieblowaną kawalerkę, mieszczącą się nad podwójnym garażem, wynajmowała do niedawna Diana Sheldon, nauczycielka rysunku w miejscowej szkole. Wyprowadziła się, gdy zarząd szkoły zaoferował jej mały domek.

- Naprawdę? - przestała zwracać uwagę na Breta, który wydawał się triumfować i współczuć jej zarazem. - Tato, czy mogę z tobą porozmawiać?

- Oczywiście, kochanie. O co chodzi?

Ginny zacisnęła wargi. Jak na inteligentnego człowieka, ojciec zrobił się nagle mało domyślny.

- W domu - skinęła głową.

- Przepraszam cię na chwilę, Bret - Hugh ruszył w stronę drzwi, widząc zacięty wyraz jej twarzy.

- Nie ma sprawy - powiedział swobodnym tonem Bret.

Przygryzł dolną wargę, jakby chciał powstrzymać wybuch gniewu.

Ginny położyła dłonie na krawędzi basenu i zaczęła wychodzić z wody. Zbyt późno zorientowała się, że powinna podплыnąć do schodków, ponieważ Bret zaoferował jej pomoc.

- Dziękuję, poradzę sobie - odparła, chociaż o mało nie wpadła z powrotem do wody.

Bret uniósł w zdumieniu brwi, słysząc jej chłodny ton, ale odsunął się i patrzył, jak Ginny gramoli się z basenu. Speszona jego badawczym spojrzeniem, dziewczyna ze złością owinęła się ręcznikiem kąpielowym. Poszła za Hughiem do kuchni i starannie zamknęła drzwi.

Kiedy była już pewna, że gość ich nie słyszy, nie zwracając uwagi na powiększającą się wokół jej stóp kałużę, zwróciła się do ojca:

- Tato...

- Ależ, kochanie, nie patrz na mnie tak, jakbym wpuścił lisa do kurnika.

- Wpuściłeś? Przecież ty go najzwyczajniej zaprosiłeś! Czemu zaproponowałeś mu, żeby tu mieszkał! Myślałam, że zatrzyma się u Sama i Laury.

Hugh uspokajająco uniósł ręce.

- Nie teraz, kochanie, kiedy spodziewają się dziecka. A poza tym, Laura skręciła nogę w kostce. Sam i Bret naraz, to aż za nadto dla niej. Zresztą Bret potrzebuje własnego kąta.

- No cóż, strasznie mi przykro. Rozumiem, że Laura może sobie nie poradzić, ale czy Bret musi się sprowadzać właśnie tutaj? Przecież w mieście jest motel. Nie mógłby tam mieszkać... albo wynająć sobie jakiejś kawalerki?

Hugh pokiwał głową, jakby doszli do sedna sprawy.

- Przecież właśnie to robi, wynajmuje kawalerkę nad garażem. Jest gotów wprowadzić się natychmiast.

- Pięknie.

- Nie rozumiem, w czym ci to przeszkadza.

- Wygląda na to, że ostatnio bardzo mało rozumiesz, tato - zdenerwowana

Ginny ściągnęła z głowy czepek kąpielowy i rozwiązała koński ogon. Roztrzepała włosy, przykucnęła i końcem ręcznika wytarła wodę z podłogi.

W trakcie tej czynności zobaczyła mroczki przed oczami. Trzy ostatnie dni były dla niej całkowitą klęską. Nie miała dokąd pójść, z kim porozmawiać. Gdy poczuła na głowie delikatne dotknięcie, z trudem powstrzymała łzy.

- Nie wiem, czemu robisz to wszystko, tato.

- To śmieszne trzymać pusty pokój bezużytecznie. A poza tym mówiłaś, że możesz pracować z Bretem. W takim razie możesz też chyba mieszkać z nim po sąsiedzku, co?

- To o wiele bliżej niż po sąsiedzku - zaprotestowała wstając.

- A cóż to za różnica? Może i popełniłaś błąd, odchodząc od niego, ale to już przeszłość.

- Tato! Nie popełniłam żadnego błędu. Sam przecież byłeś przeciwny temu małżeństwu. A kiedy wróciłam w zimie, nie wydawałeś się tym szczególnie zmartwiony.

- Leżałem półżywy z zapaleniem płuc. Nie miałem siły martwić się czymkolwiek. A jak już powiedziałem, twoje małżeństwo to już historia, prawda?

- Prawda - zabrzmiało to tak nieprzekonująco dla samej Ginny, że powtórzyła głośniejszym i wyraźniej - Prawda!

- Bret będzie miał własne życie, swoich przyjaciół a może nawet i dziewczyny. Będziesz widywała go rzadko, głównie w pracy.

Ginny owinęła się ciasniej ręcznikiem. Hugh, nawet jeśli postępował trochę niezręcznie, miał rację. Zastanawiała się jednak, czy choroba nie wpłynęła niekorzystnie na jego umysł. Nigdy dotąd tak ostro nie wypominał jej błędów. Nagle przyszła jej do głowy nowa myśl i spojrzała na ojca zwięzając powieki.

- Tato, czy ty przypadkiem nie usiłujesz mnie pogodzić z Bretem?

Hugh aż się cofnął z oburzenia. Ginny ogarnęły wyrzuty sumienia związane z tą niebaczną wypowiedzią.

- Oczywiście, że nie. Gdyby mi o to chodziło, kazałbym ci wracać do niego jeszcze w zimie.

Ginny wzniosła oczy do góry.

- Przed chwilą mówiłeś, że nie byłeś w stanie nic zrobić. Zapomniałeś już, że ledwo mogłeś unieść głowę znad poduszki?

- Może i tak, ale musisz przyznać, że odkąd poszłaś do liceum, nigdy nie wtrącałem się do twoich spraw.

- To prawda - przyznała niechętnie, zastanawiając się, do czego zmierza.

- Wiem, że jesteś dojrzałą kobietą, która starannie rozważa wszystkie za i przeciw. Nigdy nie opuściłabyś męża bez poważnej przyczyny. Uznałem, że masz prawo nie rozmawiać na ten temat, prawda?

Ginny wietrzyła w tym jakiś podstęp. Trudno jej było uwierzyć, że ojciec nagle podkreśla zalety swojego charakteru.

- Owszem.

- Dlaczego więc uważasz, że się zmieniłem? Czy nie wzięłaś pod uwagę, że wynająłem pokój Bretowi, ponieważ stał pusty, a tak może przynieść trochę grosza?

Ginny podniosła rękę do ust i zaczęła ssać kciuk.

- Całkiem możliwe.

Hugh zakaszłał, co przyciągnęło jej uwagę.

- A widzisz? Moje motywy były całkiem uczciwe.

Pochylił się w ataku kaszlu.

- Tato, czy widziałeś się z doktor Clay?

Hugh odsunął jej rękę i poklepał ją niezręcznie po ramieniu.

- Nie, nic mi nie jest - kaszał jednak nadal, twarz mu poczerwieniała, a z oczu pociekły łzy. Gdy się uspokoił, dodał: - Myślę, że powinienem odpocząć nieco przed obiadem. Wszystko już w porządku?

Ginny przytrzymała ręcznik jedną ręką, drugą wzięła ojca pod ramię.



- Oczywiście, tato, oczywiście. Nie rozumiem tylko, skąd biorą się te ataki - mówiła, prowadząc go w stronę schodów. - W jednej chwili dobrze się czujesz, w następnej kaszlesz do utraty tchu!

- Widocznie tak musi być, kochanie - pokręcił głową. - Potrzebuję tylko odpoczynku. Pomożesz Bretowi się wprowadzić? - spytał ze zboląłą miną, przytrzymując się poręczy.

- Oczywiście, tato, nie martw się niczym. Nadal jednak uważam, że powinieneś pójść do lekarza - dodała wchodząc za nim po schodach.

- Nie, nie, wszystko będzie dobrze.

- Czy mogę ci w czymś pomóc?

- Zaopiekuj się tylko Bretem - Hugh zniknął w swoim pokoju i zatrzasnął drzwi.

Kiedy Ginny zaczęła zdejmować w swoim pokoju mokry kostium, zrozumiała, jak gładko manipulował nią ojciec.

Gdy tylko Hugh zaczynał kasłać, rezygnowała ze sprzeciwu i zgadzała się na wszystko. Na pewno wcale nie był taki chory, chociaż kaszel brzmiał groźnie, a czerwieniejąca przy tym twarz ojca przerażała ją. Ginny pamiętała dobrze, co przeżyła po śmierci matki i na myśl o stracie Hugh'a wpadała w panikę.

Sięgnęła po słuchawkę stojącego na nocnym stoliku telefonu i zadzwoniła do opiekującej się nimi od lat doktor Clay. Ta zapewniła ją, że Hugh jest zupełnie zdrowy, ale Ginny powinna przysłać go na badania kontrolne. Dodała również, że powinien unikać stresów. Ginny odłożyła słuchawkę świadoma, że ma niewielkie szanse na przekonanie Hugh'a, by poszedł się przebadać. Przysięgał, że jest zdrowy. A co do unikania stresów, to ojciec sam je powodował!

Ginny rozważyła kilka sposobów nakłonienia ojca do pójścia do lekarza, włożyła dżinsy i żółtą bluzę sportową. Wsunęła stopy w sandały po czym zeszła na dół. Ku jej zdumieniu w kuchni zobaczyła Breta zręcznie wyjmującego kipiącą brytfankę z piekarnika.

- Nowy przepis? - spytał wachając z ciekawością

Odstawił brytfankę na ceramiczną płytkę.

Ginny musiała zapanować nad sobą, nim zdobyła się na odpowiedź.

- Nie, to jeden z przepisów mojej matki.

- Nigdy nie przyrządzałaś tak kurczaka, gdy byliśmy jeszcze małżeństwem - powiedział Bret. Oparty o blat kuchenny leniwie taksował wzrokiem jej figurę, bawiąc się przy tam ochronną rękawicą.

- Przyrządzałam go w ten sposób często, tylko ty nie zjawiałeś się na obiedzie

- odparła, gniewnie ściągając usta.

- Moja strata - Bret uniósł brwi słysząc ten przycinek. - A może teraz dałabyś mi spróbować, co?

- Oczywiście. Talerze są w szafce nad zlewem, sztucce w szufladzie pod spodem - oświadczyła i ruszyła w stronę wyjścia.

Gdy przechodziła obok, Bret złapał ją za nadgarstek.

- Dokąd się udajesz?

- Przygotować ci pokój.

- Czemu najpierw nie siądziesz razem ze mną do stołu? Pracowałaś dziś ciężko. Wiem, że jesteś głodna.

Tak było w istocie, lecz jej uczucie nie miało nic wspólnego z głodem. Niepokoiła ją bliskość Breta.

- Puść mnie, Bret.

- Kiedy to takie milutkie - drugą ręką objął ją w pasie, lecz nie przyciągnął do siebie.

- Nie dla mnie.

- Czy wolałabyś raczej uciec?

- Z własnego domu? - zjeżyła się. - Nigdy.

- Wydawało mi się, że mój dom był twoim. Tak by wynikało z przysięgi ślubnej.

- Owszem, Bret - odparła słodko. - Tylko, że ciebie nigdy w nim nie było.

Bret uśmiechnął się w sposób, który zwykle zapierał jej dech w piersi.

- Za to teraz jestem w domu, Ginny - powiedział kuszącym tonem, który prawie ją przekonał.

- Trudno mi w to uwierzyć.

- Czas pokaże.

- I w tym tkwił cały kłopot, prawda? - odparła, celowo przekręcając jego słowa i uwolniła się z lekkiego uchwytu. - Ty nie potrafiłeś tego pokazać.

- Odwlekasz tylko to, co nieuniknione.

- Zatem będę to odwlekała w nieskończoność. Owszem mogę pracować razem z tobą, ale co było... minęło - zająknęła się, zdumiona odkryciem, ile bólu kosztują ją te słowa. - To już przeszłość... i nie ma nic wspólnego z naszą pracą.

- Tak uważasz? Zdaje się, że coś takiego chciałaś powiedzieć mi dzisiaj w ciemni.

- Mówiłam. Tylko ty znów mnie nie słuchałeś.

- Nie mam zwyczaju wysłuchiwać bzdur. Wiesz o tym doskonale - rozejrzał się wokół. - Gdzie Hugh?

- Poszedł na górę położyć się - odparła zadowolona ze zmiany tematu. - Wciąż kaszle od czasu do czasu i skarży się, że jest słaby.

- Jeszcze całkiem nie wyzdrowiał?

- Myślałam, że tak. Jednak chwilami pogarsza mu się, ale ten uparty osioł nie chce pójść do lekarza.

- Teraz, kiedy przeszedł na emeryturę wyzdrowieje. Ma mnóstwo czasu na odpoczynek - Bret współczującym gestem ujął ją za rękę. - A może zaczekamy na niego z obiadem? Przez ten czas moglibyśmy przenieść rzeczy do mojego pokoju. Gdzie klucz?

- Wisi na gwoździu - odpowiedziała.

Bret już ją ciągnął do drzwi. Zaczekał, aż zdejmie klucz z kołka, potem objął

ją i poprowadził przed dom. W tym wcale się nie zmienił. Gdy czegoś chciał, natychmiast musiał to dostać.

Przed domem Ginny zatrzymała się i zobaczyła mały sportowy geo, amerykańską wersję suzuki, zaparkowany na ulicy. Przedtem Bret jeździł niewielką furgonetką, która bardziej nadawałaby się do przeprowadzki niż to wyładowane ubraniami po dach maleństwo.

- Musiałem sprzedać tamten samochód - wyjaśnił Bret. - Nawalał mu układ napędowy.

Westchnął dramatycznie otwierając drzwiczki i zaczął wyciągać rzeczy ze środka.

- Wiem, co chcesz mi powiedzieć. W tamtym aucie siedzenia rozkładały się i były bardzo wygodne. W tym aucie prawdopodobnie rozbolełyby nas plecy. Ale jeśli bardzo cię przyprze, daj mi znać. Jakoś temu zaradzimy.

Ginny poczerwieniała aż po czubek głowy.

- Nie wygłupiaj się - powiedziała, kryjąc twarz za stertą ubrań.

Znajomy zapach koszul sprawił, że ogarnęła ją fala tęsknoty. W chwilach, gdy czuła się bardzo samotna, bardzo go jej brakowało. Na pewno dał jej te ubrania naumyślnie, drań.

Wyprostowała się, postanawiając nie ulegać wspomnieniom. Zaczęła się zastanawiać, czy powiedzieć Bretowi o tym, jak Diana Sheldon przyozdobiła pokój, który zamierzał wynająć. Nie, niech to będzie niespodzianka.

Celowo poszła w stronę garażu.

- Łatwiej będzie wyładować rzeczy, jeśli podjedziesz pod garaż - zawołała przez ramię.

- Okay - zgodził się podejrzanie łatwo. - Ty tu rządysz.

- Myślałby kto - mruknęła.

Od trzech dni nie miała w swoich sprawach nic do gadania.

Obładowana rzeczami Breta, Ginny ostrożnie wspięła się po szesnastu schodkach. Gdy tylko znalazła się na podeście, oswobodziła prawą rękę, przekręciła klucz i otworzyła drzwi. Krzywiąc nos od zapachu stęchlizny, weszła do środka. Garnitury i koszule złożyła na kanapie. Przyjrzała się meblom. Były niewyszukane, ale czyste i w dobrym stanie. Potem otworzyła świetlik i okna. W tym samym momencie Bret wszedł na schody.

- Ginny, mogłabyś przytrzymać mi drzwi? O Matko Boska!

Miał zajęte obie ręce, więc pospieszyła otworzyć mu przeszklone drzwi. Na widok jego zdumionej twarzy nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Zdaje się, że tata zapomniał ci o czymś powiedzieć - szepnęła, tłumiąc chichot. Gdy uwolniła go od ciężarów, Bretowi opadły ręce. Rozejrzał się po pokoju raz, drugi i trzeci.

Po raz pierwszy od trzech dni Ginny miała uczucie, że panuje nad sytuacją.

Sufit, ściany i podłogi pokrywały freski. Na ścianach wymalowano identyczne okna, za którymi widać było ten sam klon w różnych porach roku, wszystko jak żywe.

Ginny zobaczyła, że Bret wpatruje się w podzielony na cztery równe trójkąty sufit. Jeden z nich pomalowany był na szaro, pozostałe w różnych odcieniach błękitu - stosownie do widniejących na ścianach pór roku. Wśród chmur unosiły się ptaki i motyle.

Potem Bret spojrział na podłogę i osłupiał na widok przyglądającego mu się, siedzącego na wielkim sęku w desce susła. Na przestrzeni całej podłogi rozmaite stworzenia bawiły się, skubały trawkę lub spały.

- To twoje dzieło? - zwrócił się do Ginny, gdy obejrzał już to wszystko.

- Chciałabym. Jedyne pomagałam Dianie Sheldon, kiedy mogłam zostawić na moment tatę samego.

Te bezcenne, poświęcone przedziwnemu arcydziełu chwile, wpływały kojąco na Ginny, pozwalając jej zapomnieć o chorobie ojca i mężu - od którego odeszła.

- Hugh nie miał nic przeciwko temu? - Bret bezradnie uniósł ręce.
- Zapłacił za farby.
- Czy ta Diana Sheldon nie jest przypadkiem nieco... dziwna?
- Jest słodka jak cukierek.

Bret roześmiał się.

- Poważnie - Ginny podniosła z podłogi rzeczy, które przyniósł Bret i ruszyła w stronę szafy. Na drzwiach Diana namalowała uschnięte drzewa. - Uczy rysunku w młodszych klasach liceum. Niewątpliwie pięć lat spędzone wśród trzynastoletnich artystów rozwinęło jej twórczą wyobraźnię.

- Nie żartuj - Bret pozbierał resztę rzeczy i stojąc ramię w ramię, wieszali je w szafie. Ginny przypomniawszy sobie, jak pomagał jej rozpakować się po przyjeździe do Memphis.

- To było bardzo sprytne z twojej strony, Ginny.

- Co takiego? - spytała z niewinną miną.

- Że nie powiedziałaś mi o tych okropnych, leśnych bohomazach w pokoju.

- Byłam przekonana, że ojciec wszystko ci powiedział - uśmiechnęła się słodko. - Sprawialiście wrażenie bardzo... zżytych. A to wcale nie jest okropne. Diana była bardzo dumna z siebie. Napisałam o tym artykuł w „Heraldzie”. Chce pokazać swoje dzieło wszystkim nowym klasom. Ponieważ rok szkolny zacznie się już za parę tygodni, wkrótce będziesz miał mnóstwo gości.

- Cudownie. Na pewno upiekę ciasteczka.

Ginny spojrzała na niego i roześmiała się. Widząc również roześmianego Breta zapomniała o przeżytych dziś przykrościach.

Ogarnęła ich fala ciepła, przywodząc jej na myśl chwile, gdy wszystko między nimi układało się cudownie i równie obiecująco jak wymalowana na przeciwległej ścianie wiosna. Było to jednak złudzenie. Od tamtych dni dzielił ją cały ocean cierpień.

Ginny cofnęła się i spuściła wzrok.

- Przetawileś samochód?

- Tak - Bret wyciągnął rękę, by ją zatrzymać. - Słuchaj, Ginny...

- Hej wy tam na górze, jeszcze nie skończyliście? Umieram z głodu - zawołał ze szczytu schodów Hugh.

Ginny podbiegła do drzwi ciesząc się, że ojciec wybawił ją z kłopotliwej sytuacji.

- Myślałam, że masz zamiar odpoczywać.

- Już odpocząłem.

- Raptem pół godziny.

- A cóż to za różnica? Czy zaszło tu coś, o czym mam nie wiedzieć? - spytał Hugh, przyglądając się im uważnie.

- Nie, myślałam tylko... mniejsza z tym - jeśli nie mogła go przekonać, po cóż było wszczynać dyskusję. Zamiast tego podeszła do ojca i wciągnęła go do pokoju.

- Skoro poczułeś się już lepiej, pomóż Bretowi. Ja przygotuję obiad.

Ginny pośpiesznie ruszyła w stronę schodów. Poślizgnęła się, ale zanim zdołała złapać się poręczą, Bret pochwycił ją wpół.

- Ostrożnie, Ginny - szepnął jej do uszka. - Powoli. Mamy przed sobą całą wieczność.

Tego się właśnie obawiała. Wyrwała się z jego objęć i przyjrzała mu się. Bret patrzył na nią z politowaniem, jakby wiedząc, że najchętniej rzuciłaby się do ucieczki. Będzie go teraz musiała widywać codziennie w pracy a potem w domu. Jedynie duma nie pozwalała jej przyznać się, że przestała panować nad sytuacją.

Ginny odwróciła się, wyprostowała i z wysoko uniesioną głową zaczęła schodzić na dół.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

- Nie możesz ot, tak - Ginny strzeliła palcami Bretowi przed nosem - zrezygnować z publikowania cotygodniowego menu w stołówce szkolnej.

Bret ani drgnął. Co więcej, pochylił się głębiej nad papierami.

- Oczywiście, że mogę.

- Ale zawsze ukazywały się w ciągu roku szkolnego...

- Zapewne od czasów, gdy po wojnie secesyjnej pojawili się tu tacy wydrwigrosze, jak ja.

W innej sytuacji Ginny uśmiełaby się z żartu Breta, zwłaszcza że urodził się i wychował na Południu. Odkąd jej były małżonek przejął przed dwoma tygodniami „Heralda”, wprowadził mnóstwo zmian.

- To przecież błahostka - zaprotestowała cofając się lekko, gdy poczuła zapach używanej przez Breta wody po goleniu. Szybko zorientowała się, że nawet takie drobiazgi potrafią ożywić wspomnienia. - Zajmuje niewiele miejsca, a służy społeczeństwu.

- Nie. Szkoła od dawna przesyła co miesiąc jadłospisy rodzicom.

- Które dzieci stale gubią.

- To już nie moje zmartwienie - wzruszył ramionami Bret.

- Martwisz się jedynie o to, jak grzebać stare tradycje.

- Pod warunkiem, że są bezużyteczne. A ty, zamiast wojować ze mną, powinnaś raczej zastanowić się, czym zapełnić puste miejsce.

- Na przykład czym?

- Choćby przedstawiając sylwetki wybitnych uczniów. Czy wiesz, że jeden z nich ma szansę na przyjęcie do West Point? Nazywa się Biggs.

- Naprawdę? - zamrugła ze zdziwienia. - Jeffrey Biggs? Gdzie zdobyłeś tę informację?

- Na śniadaniu w Klubie Rotariańskim. Siedziałem obok pękającego z dumy



ojca.

- O!

To również ją zaniepokoiło. Sądziła, że Bret po paru dniach znudzi się wolnym tempem życia w Webster i pracą w redakcji „Heralda”. Gotowa była założyć się, że nie wytrzyma bez sensacyjnych informacji, które otrzymywał od policji w Memphis.

Jak dotąd - myliła się. Bret wstąpił do kilku społecznych organizacji i wydawał się z tego zadowolony. Chociaż wiedziała, że większość wieczorów spędza u Sama i Laury, ku swemu zdumieniu czuła się niemile dotknięta brakiem zainteresowania ze strony Breta.

Przyniósł jej, co prawda, bromelię, którą Ginny postawiła na toalecie i z przyjemnością obserwowała, jak rozwija się kwiat przypominający jej miodowy miesiąc. To tak, jakby w sypialni miała namiastkę Breta. Kwiat można było zawsze wynieść, ale jak wyrzucić Breta z myśli?

Po pierwszej rozmowie w ciemni, Bret nie żądał więcej wyjaśnień, czemu go opuściła. Cieszyło ją to, ponieważ wiedziała, jaki potrafi być uparty.

W pracy łączyły ich poprawne stosunki służbowe. Ginny była w gruncie rzeczy zadowolona, że spadła jej z ramion odpowiedzialność związana z wydawaniem pisma, ale nie przyznałaby się do tego nikomu, zwłaszcza ojcu.

Bret rozumiał, że rezygnacja z pełnienia funkcji redaktora naczelnego przyszła jej z trudem i dlatego omawiał z nią wszystkie swoje decyzje, nawet taki drobiazg jak koniec publikowania szkolnego jadłospisu. Akceptował również niektóre jej projekty - choćby udostępnienie łamów „Heralda” obywatelom Webster pragnącym skomentować światowe wydarzenia. Zarezerwował także jedną kolumnę dla Ginny, gdzie mogła pisać, co jej się podobało. Była mu co prawda wdzięczna, lecz peszyła ją sama obecność Breta.

Ginny zawsze wyczuwała jego obecność w redakcji, nim zdążyła go zobaczyć. Miała wrażenie, że ubiera się specjalnie, by ją drażnić. Nosił

dopasowane dżinsy i koszule. Nieraz aż korciło ją, żeby go dotknąć. Skoro go nie kochała, czemu nie mogła przestać o nim myśleć?

W końcu Ginny zdawało się, że znalazła wytłumaczenie. W redakcji wciąż oddziaływał na nią jego wszechobecny wygląd, głos i zapach.

- To dobrze, że Jeff ma szansę dostać się do West Point, miło z twojej strony, że chcesz pisać o wybitnych uczniach, ale...

- Cieszę się, że się zgadzasz - powiedział wyraźnie ubawiony jej reakcją Bret.

- Decyzję podjąłem już wcześniej.

- To dlaczego mnie wezwałeś?

- Bo chciałem zobaczyć, jak wybuchniesz - wzruszył ramionami. - Nie robię tego celowo, ale lubię, kiedy się ze mną sprzeczasz. Pomaga ci to wydorosnąć jako dziennikarce.

- Tym lepiej dla mnie.

- Oczywiście, masz mi za złe, gdy tylko poruszam nasze prywatne sprawy, prawda?

Ginny nie raczyła odpowiedzieć.

- Zastanawiałem się nad serią artykułów związanych tematycznie ze szkołą. Dziś jest dzień otwarty. Pojedziemy tam razem.

- Po co?

- Żeby przeprowadzić wywiady z niektórymi rodzicami, nauczycielami i uczniami. Chyba nie boisz się być ze mną w aucie sam na sam?

- Ani trochę - odparła hardo, wkładając ręce do kieszeni wąskiej, płóciennej spódnicy.

- Przyjadę po ciebie o wpół do siódmej. Może poproszę dyrektora, żeby przyjął cię na kilka dni do ostatniej klasy.

- Nigdy w życiu! Odpokutowałam już swoje w tej szkole.

- Żartowałem tylko, Ginny - uśmiechnął się Bret.

- Wiem - powiedziała, odgarniając włosy z twarzy.

Roześmiali się oboje. Przez chwilę powstała pomiędzy nimi nieporozumienia. Kiedy jeszcze byli małżeństwem, Bret uwielbiał się z nią przekomarzać, ale Ginny była zbyt spięta, żeby śmiać się sama z siebie. Bała się, że bardziej wykształcony i goniący za sukcesem mąż może stracić dla niej zainteresowanie. I tak się w końcu stało.

Teraz było inaczej. Wciąż się z nią droczył, ale odcinała się broniąc własnego zdania. Bret zdawał się to doceniać.

Ginny machinalnie spojrzała na stos kopert na biurku. Na jednej z nich widniał adres zwrotny dziennika z Memphis, w którym Bret przepracował wiele lat. Ze środka wystawały wycinki prasowe. Na jednym z nich Ginny zdołała odcyfrować dopisek: „Widzisz, co tracisz?”

- Wieści z domu? - spytała nonszalancko, czując zarazem ukłucie w sercu na myśl, że Bret mógłby wyjechać z Webster na stałe.

- Jestem w domu, choć może trudno ci w to uwierzyć - odparł uśmiechając się przekornie Bret. - To list od Franka Brevarda.

- Twojego wydawcy? Pewnie chce, żebyś wrócił.

- Byłego wydawcy - poprawił ją Bret. - Problem polega na tym, czego ty chcesz, Ginny.

To proste. Chciała być odporna na wdzięki Breta. Chciała, żeby swój nieodparty uśmiech Calhouna, urok dżentelmena z Południa i zapach wody po goleniu obrócił na zawracanie głowy innej kobiecie. Nie jej!

- Chciałabym, żebyś pozwolił mi spokojnie pracować. Ty chyba również jesteś zajęty.

- Oczywiście, Ginny - zgodził się z wymuszonym uśmiechem. - A może rzuciłabyś okiem na te wycinki? Mogłyby cię zainteresować - podał jej kopertę. - Nie? Jak uważasz. Ale nie mów potem, że ci tego nie proponowałem.

W głosie Breta znów zabrzmiała niepokojąca nuta. Zupełnie jak dwa tygodnie temu, gdy obiecał jej, że w pracy łączyć ich będą jedynie stosunki służbowe, lecz

nie wspomniał, co będzie potem. Ginny stchórzyła wówczas, nie wymuszając od niego reszty układu.

Wróciła do swego gabinetu, zatrzasnęła drzwi i usiłowała zająć się pracą. Nie szła jej. Podniecała ją myśl, że wyjdą dziś razem. Nie będzie to randka, na którą podświadomie miała ochotę.

Wieczorem Ginny przebierała się trzy razy, aż wreszcie dwadzieścia po szóstej postanowiła poszukać ojca. Na dole zastała jedynie karteczkę, że Hugh wybrał się pograć w karty z przyjaciółmi.

Ginny cisnęła kartkę do kosza. Ojciec nadal ukrywał się przed nią, choć nie wiedziała czemu.

Machinalnie wzięła ściereczkę i wytarła kilka nieistniejących plam z błyszczącego chromem piekarnika. Podeszła do okna i spojrzała na schodki, wiodące do pokoju nad garażem. Wreszcie zatelefonowała do Carrie.

Gdy usłyszała głos siostry, uśmiechnęła się i przyciągnęła sobie stołek.

- Jak ci leci? - zapytała i z przyjemnością słuchała opowieści Carrie o nowej szkole, profesorach i świeżo zawartych przyjaźniach. Ginny pod okrzykami zachwytu wyczuła jednak tęsknotę Carrie za domem i wyznała, że jej również brak małej siostrzyczki.

- Doszły mnie słuchy, że Bret mieszka nad garażem - powiedziała w końcu Carrie.

- Nie myślisz chyba, że to mój pomysł - westchnęła Ginny. - Rozmawiałaś o tym z ojcem? Wcale mnie nie uprzedził.

- Dziwisz się?

- Nie. Ale unika mnie już od dwóch tygodni. Sądząc po tym, jak często się widzimy, mieszkamy chyba w dwóch różnych stanach.

- Może czuje się winny.

- Wątpię.

- Może i nie - zaśmiała się Carrie i spytała poważnym tonem: - Czy ciężko ci

mieszkać obok Breta?

- Okropnie - jęknęła Ginny i obie roześmiały się wesoło.

- Bret przyzwyczał się już do nowej pracy?

- Twierdzi, że potrzebuje trochę zwolnić tempo.

- Wierzysz mu?

- Sama nie wiem. Czasem wydaje mi się, że go rozumiem, aż tu nagle czymś mnie zaskakuje. To najlepszy dowód, że wcale go nie znałam wychodząc za niego.

- Cóż ci więc teraz przeszkadza poznać go lepiej?

To pytanie zbiło ją z tropu. Wiedziała co - nie chciała sparzyć się po raz drugi. Zanim zdążyła odpowiedzieć, Bret pukał już do drzwi. Ginny szybko pożegnała się z siostrą, chwyciła torebkę, wyszła i zamknęła drzwi na klucz. Pytanie Carrie nadal jednak pozostawało otwarte. Przebiło się przez skorupę, jaką odgrodziła się od Breta i zmąciło jej spokój.

Czerwony, ceglany gmach liceum był oświetlony, tak jak podczas wielu uroczystości, w których Ginny uczestniczyła wraz z siostrą. Ponieważ szkołę wybudowano na początku lat sześćdziesiątych, kiedy administracja nie obawiała się jeszcze aktów wandalizmu, przestronne okna klas uzupełniono grubymi zasłonami, niezbędnymi przy projekcjach filmowych lub wideo.

Ginny przystanęła na dole schodów i przyjrzała się szkole. Ze zgrozą uświadomiła sobie, że włożyła kostium z różowej dzianiny, bo Bret zawsze podkreślał, że lubi ją w tym kolorze.

- Coś nie w porządku? - spytał, kładąc jej dłoń na ramieniu.

- Nie, tylko... Czy wiesz, że przyjęto mnie tu, gdy skończyłam dwanaście lat?

- wykrztusiła bez związku. Na ogół nie pamiętała o tej głupiej, wynikłej z pomyłki administracji historii.

- Żartujesz! Dlaczego?

- Poszłam do szkoły w wieku pięciu lat. Kiedy skończyłam podstawówkę, przyjęto mnie do starszej klasy. Zawsze dobrze dawałam sobie radę, zwłaszcza z

matematyki. Tylko, że akurat zmarła moja matka i...

- Na litość boską, przecież byłeś jeszcze dzieckiem! - zawołał Bret.

- Na szczęście nauczyciele szybko zorientowali się i przeniesiono mnie o klasę niżej. Krzywda mi się nie stała.

- Wątpię - mruknął Bret.

Ginny uśmiechnęła się tylko i ruszyła po schodach w górę. Minęła chwila, nim zorientowała się, że nie ma obok Breta. Stał na dole przypatrując się jej.

- O co chodzi? - spytała zaniepokojona. - Popłamiłam się gdzieś?

Bret powoli wszedł na górę. Ujął ją pod brodę i spojrzał w oczy. W jego wzroku kryło się coś dziwnego, niezrozumiałego dla Ginny. Znow straciła pewność siebie.

- Nic szczególnego. Po prostu wreszcie dowiedziałem się czegoś o tobie.

- Czego?

- Że w dzieciństwie wszyscy strasznie dużo od ciebie wymagali - obok przechodzili ludzie, przyglądając się im ze zdziwieniem.

- Pomówimy o tym później - dodał Bret.

Zakłopotana Ginny odsunęła się od niego. Bret wziął ją jednak pod ręką i poprowadził w ślad za innymi.

- Pomyśl tylko - odezwał się lżejszym tonem. - To moglibyśmy być my, dwadzieścia lat później.

- My? - zająknęła się Ginny. - Jak to?

- Bo wtedy mielibyśmy Breta i Ginny juniorów.

- O! - nastroszyła się.

Wszystkie rozmowy na temat posiadania dzieci kończyły się zgodnym wnioskiem, że powinni poczekać z tym jeszcze parę lat. Ginny czuła się wciąż za młoda i chociaż żałowała, że nie mają dziecka, pocieszała się, że to utrudniłoby rozwód.

- Jasne. Przyszlibyśmy dowiedzieć się o postępy małego Breta, a tu okazałoby się, że dziewczyny i piłka interesują go bardziej od algebry czy gramatyki.

- Naprawdę?

- Jasne. Byłby taki sam jak ja.

- Drzę na samą myśl o tym.

- Złote słowa - powiedział Bret, otwierając przed nią drzwi. - Za to małeńka Ginny byłaby wzorową uczennicą, oczywiście prześliczną, a ja nocami siedziałbym na ganku ze strzelbą broniąc jej czci.

- Byłbyś bardzo naiwnym ojcem - roześmiała się Ginny. - Może wcale nie chciałaby, żebyś strzegł jej cnoty, co?

- Mniejsza z tym. I tak bym to robił.

Przekomarzali się aż do wejścia do audytorium, w którym zgromadzili się rodzice przed spotkaniem z wychowawcami. Bret i Ginny wyciągnęli małe notesy. Rozdzielili się i poszli porozmawiać z nauczycielami i rodzicami. Ginny zapaliła się bardzo do pomysłu Breta. Wiedziała, że na ogół dzieci rodziców aktywnie uczestniczących w życiu szkoły mają lepsze wyniki w nauce. Ten artykuł oraz rubryka poświęcona zdolnym uczniom mogłaby zachęcić innych. Gdy spostrzegła stojącego w korytarzu Breta, poszła pogratulować mu pomysłu.

Bret uśmiechnął się do niej i czekając oparł plecami o szafkę. Nagle podszedł do niego jakiś mężczyzna i radośnie poklepał po ramieniu. Ginny zorientowała się, że to ojciec Jeffreya Biggsa, przyszłego studenta West Point.

- Hej, Calhoun, pozwól, że ci pogratuluję... - dosłyszała jedynie, bo Bret chwycił ojca Jeffa za rękę i zniknęli w tłumie pozostawiając zdumioną Ginny.

O co tu chodzi?

Spytała go o to, gdy wreszcie się odnalazł.

- Mieliśmy coś do omówienia na osobności, a ty mogłabyś wszcząć awanturę - odparł tylko.

- Że co?

- Widzisz? Już zaczynasz - powiedział, wskazując jej drzwi do auli. - Porozmawiaj lepiej z rodzicami. Ja pójdę do klasy na końcu korytarza. Widziałem

tam ludzi z plakietkami, to pewnie pedagodzy. Dowiem się czegoś od nich.

Znów zostawił ją samą. Ginny z trudem zabrała się do pracy postanawiając, że dowie się, o co chodzi.

Po godzinie tłum zaczął rzednąć. Zastała Breta przy drzwiach wyjściowych. Uchylił je przed nią uprzejmie.

Gdy już znaleźli się w małym sportowym samochodziku i oddalili nieco od szkoły, spytała:

- Może mi powiesz, co się stało?

- Dowiedziałem się dzisiaj, że dostałem nagrodę MacKellara.

Ginny spojrzała na niego z niedowierzaniem. Gdyby oświadczył jej, że zgłoszono go do załogi lecącej na Księżyc, byłaby chyba mniej zdziwiona. Nagrodę MacKellara przyznawano najwybitniejszym dziennikarzom za najlepsze reportaże. W skład komisji wchodziłi słynni pisarze i wydawcy. Na Południu miała rangę równą nagrodzie Pulitzera.

- Żartujesz!

- Mówię zupełnie poważnie.

- To cudownie, Bret - rozjaśniła się. - Za który reportaż ci ją przyznano?

Nie odpowiedział od razu i Ginny poczuła się nagle nieswojo.

- Bret?

Zerknął na nią i znów skoncentrował się na prowadzeniu samochodu.

- To nie był jeden reportaż, a cała seria. Opublikowałem ją wkrótce po tym, jak mnie opuściłaś.

- Seria? - spytała z ciężkim sercem. - Nie wiedziałam, że pracujesz nad czymś takim.

- To był pomysł Franka. Prawdę mówiąc, to właśnie on zadzwonił zawiadamiając mnie o nagrodzie.

- Wycinki w kopercie! - odgadła wreszcie.

Żałowała teraz, że nie przeczytała ich przez głupi upór.



- Tak.

- Bret, nie każ mi wyduszać z ciebie słowa po słowie.

- Wkrótce po tym, jak się pobraliśmy - Bret spojrzał na nią, jakby chciał się upewnić, że Ginny ma głupią minę - Frank wpadł na pomysł opisanie od wewnątrz przestępczego świata Południa. Wybór padł na mnie. Miałem pewne kontakty. Ludzie, których znałem, rozmawiali ze mną anonimowo.

Ginny zaschło w ustach z wrażenia. Coś ścisnęło jej serce.

- To dlatego znikales na całe noce.

Bret podjechał pod dom i zaparkował za wozem Ginny. Wyłączył silnik, oparł się o drzwi, głowę przycisnął do szyby. Światła lamp ulicznych padały na jego sylwetkę, twarz skryła się w mroku. Zaczął mówić poważnym głosem, w którym nie było słycać zwykłego wigoru i przekomarzania.

- Tak. Tam właśnie byłem. Ci ludzie nie pracują w godzinach biurowych. Musiałem się do nich dostosować. O ile - parsknął - wymuszenia, nielegalny hazard i handel narkotykami można nazwać pracą.

- Czemu nic mi o tym nie mówiłeś?

- Bo nie chciałem niepotrzebnie cię narażać.

- Powinieneś mi powiedzieć - upierała się. - Byłam twoją żoną!

- To zabawne, ale chyba przysięga małżeńska wspomina coś o tym, że na dobre i złe. Mnie to zobowiązywało.

- Jak śmiesz zwać wszystko na mnie! Miałam prawo wiedzieć, że ryzykujesz życiem - urwała na chwilę. - To nad tym pracowałeś, kiedy cię zraniono?

- Tak.

Ginny oparła łokieć o krawędź otwartego okna i przykryła twarz dłonią.

- Miałam prawo wiedzieć - szepnęła sama do siebie.

- A ja miałem obowiązek cię ochraniać. Wiedza na ten temat mogła być dla ciebie niebezpieczna.

Ginny wyprostowała się i naśladowując Breta, skrzyżowała ramiona na piersiach. Znowu znaleźli się w impasie. Nie mogła wyzbyć się dzieciennego przekonania, że gdyby Bretowi na niej naprawdę zależało, okazałby to bardziej przekonująco. Zamiast tego oskarżył ją o tchórzostwo.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi prawdy, gdy przyjechałeś tu w lutym zeszłego roku?

- Wyglądało na to, że uparłaś się zostać z Hughiem. Potrzebował cię, był ciężko chory. A poza tym niebezpieczeństwo wcale jeszcze nie minęło. No i ja byłem cholernie wściekły na ciebie - dodał z lekką autoironią.

- Spójrzmy prawdzie w oczy, Bret. Pomijając inne względy, raczej byłeś gotów pozwolić mi odejść, niż stracić taki wspaniały temat.

Bret poderwał się i otworzył drzwiczki.

- Jeśli to prawda, to co ja tu robię?

- Bóg raczy wiedzieć! - zirytowana Ginny również wysiadła z samochodu. - Ukrywasz się?

W świetle latarni ledwo dojrzała uśmiech Breta.

- Chyba powinienem pozwolić ci nieco ochłonać, Ginny. Dobranoc. Odprowadziłbym cię do drzwi, ale nadopiekuńczość mogłaby urazić taką samodzielną kobietę - zasalutował i ruszył do siebie. Wtem zawrócił. - A tak nawiasem mówiąc, wręczenie nagrody MacKellara odbędzie się w przyszły czwartek wieczorem. Czy zechcesz mi towarzyszyć? Nie? Trudno. Znajdę sobie kogoś innego - pomachał jej i zaczął wspinać się po schodkach prowadzących do mieszkania.

Ginny stała z zaciśniętymi pięściami, słuchając kroków Breta na schodach. Zastanawiała się, czemu czuje się tak, jakby właśnie ona była wszystkiemu winna.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Doris! Bret zabrał Doris na przyjęcie z okazji wręczenia nagrody MacKellara.

Ginny siedziała w pustej redakcji „Heralda” z nogami na biurku, ręce trzymała pod głową. Czuła się równie nieswojo, jak podczas wizyty w szkole.

Od ponad tygodnia zastanawiała się, kogo Bret wybierze na swoją towarzyszkę. Przyglądała się wszystkim współpracowniczkom, zastanawiała się nad każdą kobietą w mieście, wmawiając sobie, że wcale nie jest zazdrosna. Ulżyło jej, gdy dowiedziała się o tym od Doris.

To, że Bret wybrał Doris, uświadomiło jej, jak bardzo się zmienił. Pochłonięty pracą w Memphis nie zwracał uwagi na swoich kolegów. Teraz znalazł czas, by odkryć, że to właśnie Doris była istną kopalnią wiedzy na temat konkursu, odkąd Hugh powołano do komisji nagrody MacKellara. Dowiedział się również, że uwielbiała jeździć do wielkich miast, ale od śmierci męża rzadko zapuszczała się dalej niż do Greenville.

Troskliwość Breta zbiła Ginny z tropu. Skoro - jak uważała - zamierzał wyjechać z Webster, czemu tak ciężko pracował nad podniesieniem poziomu „Heralda”? Dlaczego tyle czasu poświęcał mieszkańcom miasta? Wszyscy go już poznali i polubili. Na pewno nie przez wzgląd na Sama i Laure, czy z powodu Ginny.

Zdjęła nogi z biurka i wyprostowała się. W głowie kołatało jej pytanie siostry. Co powstrzymuje ją przed lepszym poznaniem byłego męża? Czemu nie chciała pojechać z nim na wręczenie nagrody? Wczorajszy wieczór spędziła, usiłując wyobrazić sobie Breta odbierającego nagrodę i jego przemówienie. Bardzo chciała znaleźć się na miejscu Doris i pokazać wszystkim, jaka jest z niego dumna.

Co ją zatem powstrzymuje? Musiała uczciwie przyznać, że strach. Obawiała się do niego zbliżyć.

Wstała i gorączkowo zaczęła sprawdzać, czy we wszystkich pomieszczeniach

pogaszono światła.

Bret i Doris wyjechali poprzedniego dnia, w czwartek, i chociaż mogli wrócić lada chwila, Ginny nie spodziewała się ich w biurze. Dziś odbywał się lokalny festyn. Doris startowała w konkursie kilimów. Pewnie pojedzie tam prosto z drogi - sprawdzić, które zajęła miejsce. Ginny nie miała z kolei pojęcia, co zrobi Bret. Laureata nagrody MacKellara nie mogła zainteresować prowincjonalna impreza.

Ginny zgasła światło w dziale ogłoszeń, zamknęła drzwi na klucz i poszła do holu po torebkę. Mimo że sukces Breta napawał ją niekłamaną dumą, odczuwała coś w rodzaju zawodowej zawiści. Sama marzyła o tej nagrodzie.

Po wyjeździe Breta i Doris, Ginny weszła po jakiś drobiazg do gabinetu naczelnego i spostrzegła kopertę z wycinkami, które przysłał mu Frank Brevard. Złapała ją bez zastanowienia, zaniósła do swojego pokoju i zapominając zupełnie o leżącym na biurku artykule na temat Jeffreya Biggsa, pogрузzyła się w lekturze.

Reportaże były wspaniałe, lepsze od wszystkiego, co Bret napisał do tej pory. Gdy jednak wyobraziła sobie, jak musiał się narażać zdobywając materiały - struchlała. Gdyby wówczas wiedziała o tym, wpadłaby w histerię. To dlatego Bret wolał utwierdzać ją w przekonaniu, że przebywa w asyście policji.

Po przeczytaniu materiałów Ginny doszła do wniosku, że na przyjęciu Bret zostanie zasypany propozycjami ciekawej pracy. Byłby głupcem, gdyby odmówił.

W tej sytuacji Ginny nie była przekonana, czy chciałaby zostać naczelnym „Heralda”. Pisanie zleconych artykułów, bez martwienia się o resztę, było czystą przyjemnością. Poza tym, brakowałoby jej Breta.

Musiała jednak trzymać się od niego z daleka. Z trudem przeboleła nieudane małżeństwo i nie zamierzała przeżywać tego jeszcze raz. Z drugiej strony z zachowania Breta nie wynikało wcale, że bardzo mu na niej zależy. Nie wiedziałaby, co począć, gdyby zależało mu naprawdę.

Zmęczona tą nieustanną gonitwą myśli Ginny złapała torebkę, zaryglowała drzwi wejściowe i pojechała do domu. Samochodu Breta jeszcze nie było. Szkoda,

bo chciała mu powiedzieć, że przeczytała wycinki i że jej zdaniem w pełni zasłużył na nagrodę. Przed domem powitał ją poruszający się w tanecznym rytmie ojciec. Świeżo ogolony i wykąpany włożył czyste spodnie i nową, niebieską koszulę. Zdjął torbę z ramienia Ginny, powiesił ją na wieszaku w holu, a potem porwał córkę do walca.

- Przebieraj się szybko, moja mała Ginny. Wspaniałe rzeczy dzieją się na festynie. Klub emerytów urządza tańce na tarasie i chciałem sprawdzić, czy jeszcze pamiętam fokstrota. Jeśli tak, nauczę cię.

- Tato, wolę współczesne tańce - uśmiechnęła się.

- Nie bądź śmieszna. Te wygibasy za rok wyjdą z mody. Fokstrot jest wieczny.

Ginny cieszyła się, że spędzi nieco czasu z ojcem. Widywała go rzadko. Chyba poczynił duże postępy w pracy nad książką, bo siedział nad nią całymi dniami. Czasem do późnej nocy słychać było maszynę do pisania. Hugh chwalił się tym, nie chciał jednak powiedzieć nic na temat fabuły ani bohaterów. Stan zdrowia wyraźnie mu się poprawił, choć nie dał się namówić na wizytę u lekarza. Od dwóch tygodni nie kaszlał prawie wcale.

To cudownie! Spędzi wieczór z tatą. Ginny była dumna, że nie spytała ojca, czy widział dziś Breta.

Pobiegła na górę przebrać się w dzinsy, bluzkę z długim rękawem i mokasyny. Pamiętając, że wieczorem zrobi się chłodniej, narzuciła na ramiona błękitny sweterek. Przeczesała włosy i zbiegła na dół.

Na festynie zebrało się już mnóstwo osób. Kolejka amatorów przejażdżki na diabelskim kole ciągnęła się chyba ze sto metrów. Wszyscy czekali na bilety.

- Na szczęście minęły już czasy, gdy zabierałem cię na takie atrakcje - powiedział Hugh z uśmiechem, spoglądając na cierpliwie czekających ludzi.

- Tato - zaprotestowała Ginny. - To wcale nie byłeś ty, tylko mama. Potem ja zabierałam Carrie.

- I tak już za późno, żebym próbował - odparł Hugh.

Wziął córkę pod rękę i poszli w stronę pawilonów wystawowych.

Ginny uwielbiała doroczne festyny. Wzdłuż chodników stały budki, w których sprzedawano prażoną kukurydzę, lemoniadę i domowe ciasta. Jak zwykle, organizacje społeczne urządzały różne zawody, zbierając w ten sposób pieniądze na swoją działalność. Ginny postanowiła później spróbować szczęścia w którejś dyscyplinie.

W pawilonie ze zwierzętami hodowanymi Hugh wdał się w pogawędkę z grupą przyjaciół. Ginny, której nie interesowały zalety buhajów, przeszła do budynku, gdzie wystawiano rękodzieło. Kilim Doris zdobył błękitną wstęgę. Nie wiedziała, czy Doris już wróciła. Miała jednak nadzieję, że spotka jej przyjaciół.

Po obejrzeniu kilimów Ginny udała się na plac, gdzie naganiacze zachęcali do przejażdżki na „karuzeli śmierci”. Powoli podeszła do budki jednego z miejscowych klubów, prowadzonej przez znajomego dentystę i jego żonę. Obok, nad olbrzymią beczką pełną wody wisiała ławeczka. Trafiając piłką basebolową w tarczę, można było strącić do wody siedzącego na ławce ochotnika.

Przed budką stał zadowolony z siebie Sam Calhoun. Z wody wyłaniał się szeryf, Farley Hunkle.

- Nie powinienes mi wlepiac tego mandatu za zle parkowanie, Farley - powiedział szczerząc się w uśmiechu Sam.

- Należał ci się - stęknął szeryf, gramoląc się z beki po drewnianej drabince. Zniknął w małym, służącym za przebieralnię namiocie.

Ginny usłyszała z tyłu parsknięcie i obejrzała się. Zobaczyła swoją szwagierkę. Laura Calhoun siedziała na ławce, starając się przybrać najwygodniejszą pozycję, w czym przeszkadzał jej ogromny brzuch. Laura i Sam nigdy nie obwiniali Ginny za zerwanie małżeństwa, za co była im niezmiernie wdzięczna.

- Jak się czujesz? - spytała Ginny podchodząc bliżej.

- Jakbym miała urodzić słońca. Nie wiem tylko, czy mi się to uda - westchnęła Laura.

Oczy błyszczały jej ze szczęścia.

Ginny uśmiechnęła się, mimo poczucia zazdrości.

- Kiedy rozwiązanie?

- Za cztery tygodnie - mimo zmęczenia, Laura nadal wyglądała przepięknie.

- Czujesz się niezgrabnie?

- Moja własna matka oświadczyła mi, że nigdy nie widziała tak wielkiego brzucha, chociaż sama miała szóstkę dzieci. I dobrze wie, co mówi.

- No chyba! Zdziwiłam się widząc cię tutaj. Jak kostka?

- Kostka?

- Ta, którą skręciłaś parę tygodni temu.

- Nadwerężyłam kostkę, wyciągając jednego z tych głupich psiaków Sama z moich róz, ale po paru dniach wszystko było już w porządku - zdziwiła się Laura.

- Myślałam, że to coś poważniejszego - mruknęła Ginny. - Cieszę się, że jest już dobrze.

Wewnątrz aż kipiała. Ojciec oszukał ją i gotowa była iść o zakład, że Bret również maczał w tym palce. Niech no tylko ich złapie!

- Och! - jęknęła nagle Laura.

- Co się stało? - przestraszyła się Ginny. - Masz bóle?

- Nie, spójrz tylko - Laura pokazała na budkę.

Ginny obejrzała się i zobaczyła Breta wsuwającego się ostrożnie na ławeczkę nad beczką. Miał na sobie džinsy i stary podkoszulek uniwersytetu Vanderbilta, który Ginny wkładała do mycia samochodu. Najwyraźniej wrócił po ich odjeździe.

Ginny obserwowała z zainteresowaniem, jak Bret lokuje się na ławce. Spojrzał surowo na brata.

- Sam, ten rzut wyszedł ci przez przypadek.

- Chyba śnisz, braciszku. Nawet się nie rozgrzałem - roześmiał się Sam,

wyszukując sobie odpowiednią piłkę.

Prowadzący budkę dentysta wygłosił zachęcające przemówienie.

- Kto chce stracić nowego redaktora naczelnego „Heralda”? - namawiał gapiów. - Przekreślił twoje nazwisko? Wydrukował ci ogłoszenie na opak? A może ujawnił wszystkim, że lubisz teściową? Oto okazja do zemsty!

Obie kobiety roześmiały się. Laura, podtrzymując swój brzuch, powiedziała po namyśle:

- Widzisz, Ginny, ci Calhounowie nie są wcale tacy źli tylko nieco uparci i krnąbrni. Wydaje im się, że pozjadali wszystkie rozумы.

- Tak właśnie przypuszczałam - odparła Ginny. - Potrafią również przemilczeć pewne rzeczy - dodała, mając na myśli kostkę Laury.

- To prawda. Czasem odnoszę wrażenie, że mam do czynienia z jaskiniowcami. Gdy upatrzą sobie jakąś kobietę, gotowi są zawlec ją za włosy do domu.

- Niezwykle staroświeckie podejście.

- Inteligentna kobieta nie przepuściłaby żadnej okazji, żeby pogrzyść kóregoś z nich.

- W szkole zawsze byłam prymuską - zauważyła z szelmowskim uśmiechem Ginny.

- To znaczy, że jesteś bardzo inteligentna - Laura skinęła głową w stronę beczki. - Jak myślisz, ile razy kobiecie może trafić się taka okazja?

- Nieczęsto. To może być jedyna. Nikt nie stoi za Samem w kolejce, powinnam więc spróbować od razu.

Ginny wstała i pomogła podnieść się Laurze. Podeszły do Sama i Laura głośno jęknęła.

- Sam, jestem już zmęczona. Chciałabym wrócić do domu.

Sam natychmiast wrzucił piłkę z powrotem do koszyka i wziął żonę pod rękę. Zbadał jej puls.



- Co się stało? Masz bóle? A mówiłem, że powinnaś zostać w domu - ze zdenerwowania omal nie przeoczył Ginny. - Cześć Ginny, jak leci?

Ginny nie odpowiedziała. Najwyraźniej wcale go nie słuchała.

Kiedy Sam podtrzymując żonę zaczął prowadzić ją w stronę samochodu, Laura obejrzała i powiedziała:

- Powodzenia. Chętnie bym to zobaczyła, ale wygląda na to, że zostanę odstawiona do domu i tuczona.

Ginny pomachała jej. Potem sięgnęła do torebki, wyjęła banknot pięciodolarowy i położyła go na ladzie.

- To daje mi prawo do pięciu rzutów, Sally - oświadczyła. - Jeśli nie trafię, zjawi się wielu chętnych. Dziś dzień wypłaty.

Zdjęła sweterek i oddała go wraz z torebką na przechowanie. Potem rozpromieniona spojrzała na Breta.

Bret pokręcił powoli głową i przesłał jej ostrzegawcze spojrzenie.

- Hej, Ginny. Tak naprawdę to wcale tego nie pragniesz.

Pochyliła się nad koszykiem i wyjęła piłeczkę.

- Owszem, tak - odparła z niewinną miną. - A jak tam było na przyjęciu?

- Wspaniale - Bret uchwycił się krawędzi ławeczki. - Wiesz, że niełatwo przestraszyć laureata nagrody MacKellara?

- Może i nie, ale trudno mi się powstrzymać na twój widok.

- Chyba nie zamierzasz mnie wykąpać?

- Ależ skąd, nie śmiałabym.

- Nigdy nie podejrzewałbym cię o takie okrucieństwo.

- Wciąż dowiadujesz się o mnie czegoś nowego.

Bret zaśmiał się, ale natychmiast spoważniał widząc, jak Ginny przerzuca piłeczkę z ręki do ręki. Ktoś z tłumu zawołał ją. Ginny odwróciła się i cisnęła w wołającego piłką. Zabawiała się tak przez parę minut dla rozgrzewki.

- Ginny! - zawołał Bret. - Chyba coś sobie przypomniałem.

- Co takiego?

- Czy przypadkiem nie grałaś w drużynie Sama?

- To miło, że pamiętałeś.

- Jeśli wolno spytać, na jakiej pozycji?

- Oczywiście - pochyliła się w przód i oszacowała dystans dzielący ją od metalowej tarczy. - Byłam miotaczem.

Odchyliła się w tył, uniosła dla równowagi lewą nogę i zamachnęła się z całej siły. Ponieważ zawsze rzucała spod ręki, chybiła o włos.

- Nie potrzebujesz okularów? - zawołał Bret.

Ginny uspokajająco podniosła rękę i wybrała następną piłkę z koszyka. Wzięła poprawkę i tym razem piłka trafiła w tarczę. Zadzwończyły dzwonki, rozbłyły światła, a Bret wpadł do wody.

Z tyłu rozległy się wiwaty. Ginny odwróciła się i podziękowała za nie ukłonem. Bret wydostał się po drabince z beczki, lecz zamiast pójść do namiotu, skierował się wprost do niej.

- Ależ... Bret - Ginny cofnęła się odruchowo.

- Chyba zapomniałem ci powiedzieć czegoś o tej zabawie.

- Tak?

- Gdy rzucający strąci osobę siedzącą na ławeczce do wody, ofiara ma prawo pocałować oprawcę.

Ginny potrzebowała paru sekund, by dotarł do niej sens wypowiedzi Breta.

- Ale Farley nie pocałował Sama - wykrztusiła wreszcie.

- Ginny, Sam jest moim bratem, a mimo to też bym go nie pocałował.

Rozejrzała się wokół, ale zobaczyła tylko rozbawione twarze ludzi. Znikąd ratunku.

- Nie zgadzam się.

- No cóż, zawsze mogę inaczej wykupić fant. Spędzisz ze mną wieczór na

festynie.

- Wymyśliłeś to na poczekaniu.
- Boisz się?
- Ani trochę! - nie śmiała jednak spojrzeć mu w oczy.

Popatrzyła za to na oblepiającą mu tors moką koszulkę i džinsy.

Bret uśmiechnął się widząc rumieniec Ginny.

- No więc jak będzie? Spędzisz ze mną wieczór?
- Niech ci będzie - odparła niechętnie.

Nie zraziło to jednak Breta.

- Zaczekaj tutaj. Zaraz wracam - odwrócił się i poszedł do przebieralni.

Ginny zauważyła, że parę kobiet odprowadziło Breta spojrzeniem, a potem popatrzyły na nią z zawiścią. Westchnęła, myśląc o tym, w co się pakuje. Bret wróci dopiero za kwadrans. Powinna wykorzystać ten czas, by uzbroić się psychicznie. Poszła odebrać torebkę i sweterek.

Pojawił się po dziesięciu minutach. Włosy miał uczesane, ale wciąż jeszcze wilgotne. Włożył suche džinsy i cyfamonowy sweter. Mokre rzeczy niósł w plastikowej torbie. Wziął ją pod rękę i poprowadził w stronę diabelskiego koła.

- Kolejka po bilety ciągnie się w nieskończoność - usiłowała zniechęcić go Ginny.

- Nie przejmuj się - Bret wyciągnął z kieszeni plik biletów. - Zapłaciłem Jimmy'emu Blainesowi, żeby stanął w kolejce po bilety.

- Pomyślałeś o wszystkim.
- Staram się. Chodź, włożymy mokre rzeczy i twoją torebkę do mojego auta.
- Torebkę? - przycisnęła wór do piersi.
- Kochanie, nosisz w niej cały świat. Jest dużo cięższa od ciebie. Jeśli wypadnie ci, kiedy będziemy na tym kole, może kogoś zabić.

- Wcale nie jest ciężka - mruknęła Ginny, ale poszła z nim posłusznie do suzuki geo, w którym zamknęli rzeczy.

Słońce już zachodziło i parking był słabo oświetlony. Ginny potknęła się o kamień, ale Bret przytrzymał ją. Wiedziała, że powinna wyszarpnąć się z objęcia, gdy znów znaleźli się na oświetlonym terenie, lecz przyjemnie było czuć rękę Breta obejmującą ją w pasie.

Zaprowadził ją do kolejki, w której dziesiątki dzieciaków czekało na jazdę. Operator sadzał ich po dwóch w wagoniku i zabezpieczał metalową poręczą. Wagoniki kręciły się coraz szybciej, aż koło unosiło się niemal pionowo. Wewnątrz jarzyły się kolorowe lampki. Ginny zamrugła.

- Tracimy odwagę?

- Wiem, że uwielbiasz się ze mną droczyć. Wcale nie. Tylko czy zauważyłeś, że w tej kolejce jesteśmy jedynymi osobami, które ukończyły piętnaście lat.

- A co to za różnica. Chyba się nie boisz?

- Nigdy w życiu! - zawołała.

Kiedy tak czekali, zdała sobie z przerażeniem sprawę, że czuje się bardzo szczęśliwa. Nie znalazłaby lepszego miejsca na spotkanie z Bretem. Wokół było mnóstwo ludzi, większość z nich znała. Miała okazję spędzić z nim uroczy wieczór, delektując się jego radością i poczuciem humoru bez żadnych obciążeń wspomnieniami i bez podtekstów erotycznych. Kiedy będzie chciała wrócić, wystarczy, że odnajdzie ojca. Czym tu się więc przejmować?

Zrobiło się już chłodno, zdjęła więc przewieszony przez szyję sweter i włożyła go. Podwinęła rękawy, ale zanim zdążyła poprawić kołnierzyk, wyręczył ją Bret.

Ginny, z rękoma uniesionymi w pół drogi, popatrzyła mu w twarz. Bret uśmiechał się niewinnie.

Przesunął palcami po nasadzie jej szyi, wywołując tym dotknięciem delikatne dreszcze. Przeniknęły ją aż do głębi. W głowie Ginny zaświeciła czerwona lampka.

- Bret?

- Nie przejmuj się, kochanie. W takim tłoku nic ci nie grozi.

Ginny, co prawda, myślała tak samo, przekonała się jednak, że Bret bez trudu mógłby pokonać jej opór. Nim zdołała odpowiedzieć, diabelskie koło zatrzymało się, pasażerowie wysiedli i kolejka posunęła się naprzód.

Chciałaby uciec, ale Bret zaprowadził ją do wagonika z wymalowaną na oparciu królową kier. W ślad za nią wślizgnął się na winylową ławeczkę i zamocował ochronną poręcz.

- Nie cierpisz chyba ma morską chorobę?

- Oczywiście, że nie - spojrzała na niego ze zdziwieniem. - Zapomniałeś już, że w domu mieliśmy wodne łóżko?

Bret w pierwszej chwili oniemiał, słysząc tę zuchwałą odpowiedź. Zaśmiał się w chwili, gdy koło ruszyło. Zaczęli kręcić się w kółko i siła odśrodkowa wepchnęła ją na Breta. Usiłowała wcisnąć pomiędzy nich rękę, by przesunąć się na śliskim siodełku. Bez powodzenia. Zmiana obrotów i Bret wpadł na Ginny.

- Daj spokój, Ginny! - zawołał jej do ucha, przekrzykując szum wiatru i ryk silnika. - Będzie nas tak przyciskać do siebie aż do końca. Baw się tym.

Z trudem udało się jej skinać głową.

Mimo że siła odśrodkowa dociskała ich mocno, Bret zdołał objąć Ginny ramieniem. Przywarła do niego wmawiając sobie, że to pomoże jej utrzymać prosto głowę.

Zdawali się kręcić we wszystkich kierunkach naraz. Kiedy koło zaczęło unosić się do góry, Ginny otworzyła oczy i zobaczyła, że ziemia oddala się w dziwnym kierunku. Jęknęła i ponownie zacisnęła powieki. Bret zachichotał jej do ucha, więc Ginny uszczypnęła go tuż nad paskiem od džinsów. Bret pisnął, w rewanżu przesunął kciuk pod brodę Ginny, uniósł jej głowę i pocałował ją.

W pierwszej chwili Ginny była zbyt zdumiona, żeby zareagować.

Wargi Breta były ciepłe i mocne, dokładnie takie, jakie zapamiętała, tylko bardziej podniecające. Oszołomiona, nie mogła uświadomić sobie, czy dawniej pocałunki Breta również działały na nią w ten sposób. Chyba tak, skoro Bret

zawsze angażował się całkowicie w to, co robił. Wreszcie poddała się i odwzajemniła pocałunek. Każdy kolejny zmieniał się w długie, wzajemne poszukiwanie i kończył początkiem następnego. Wszystko razem było wspaniałe i jakże przerażająco znajome.

Koło zaczęło zwalniać i zniżając się, opuszczało ich łagodnie na ziemię. Bret nie przerwał pocałunku. Najwyraźniej nie zamierzał tak łatwo jej wypuścić. Pozbawił ją tchu i odebrał rozsądek. Ginny podejrzewała, że celowo wytrącił ją z równowagi i zamierzał utrzymywać w tym stanie.

Nie przestał nawet, kiedy operator podszedł, by odczepić zabezpieczenie. Wreszcie puścił ją i Ginny zamrugła, jakby wynurzyła się na światło dzienne z ciemnej jaskini.

Operator popatrzył na nich z podziwem i uśmiechnął się.

- Stary, po raz pierwszy w życiu widziałem, żeby ktoś dokonał tej sztuki na rozpędzonym kole.

- Nowicjuszom szczęście sprzyja - odparł bez wahania Bret.

Wysiadł i pomógł wyjść Ginny. Musiał ją podtrzymywać, bo chwiała się na nogach. Gdy zeszli z podestu, wciąż kręciło jej się w głowie.

- Bret, nie! - zawołała widząc, że ciągnie ją w stronę karuzeli. - Już nie chcę z tobą jeździć!

- Ależ, Ginny - powiedział z diabelskim błyskiem w oku. - Kupiliśmy bilety. Szkoda byłoby je zmarnować.

- Możemy komuś oddać - protestowała bezskutecznie.

Tym razem nie próbował jej całować i Ginny nie wiedziała, czy jest bardziej zadowolona, czy rozczarowana. To uświadomiło jej, jakie wrażenie wywarł na niej Bret. Spędzenie z nim wieczoru było wyjątkowo kiepskim pomysłem - orzekła - gdy zmierzali w stronę błyszczącego tysiącami kolorowych lampek diabelskiego młyna.

Z góry widzieli cały teren festynu. Ginny dojrzała nawet ojca pogrążonego w

rozmowie z Jimmym Blainesem. Pomachała, ale odwrócony tyłem Hugh nie zauważył jej. Zastanawiała się, czy Jimmy podniesie cenę na robaki. Kiedy już zsiadli z koła, Hugh gdzieś zniknął.

Gdy skończyły się im wreszcie bilety, próbowali szczęścia w różnych konkursach. Bret wygrał pluszowego misia, pandę wielkości Ginny i zmusił ją, by sama go dźwigała. Zemściła się oddając mu go na przechowanie, gdy szła do toalety.

Odwiedzili gabinet krzywych luster. Zaśmiewali się, gdy Ginny znalazła lustro, w którym wyglądała na bardzo wysoką i chudą osobę. Bret obiecał, że kupi jej takie do domu. Wreszcie znów wmieszali się w tłum i poczuli, że są bardzo głodni. Dochodziła już prawie dziewiąta, więc Bret kupił hot dogi i wodę sodową. Usiedli przy stoliku kompletnie wyczerpani. Ginny nie ubawiła się tak od miesięcy.

Kończyli jedzenie, gdy pojawił się Hugh. Wyglądał na zadowolonego z siebie. Skrzywił się na widok Ginny.

- Czy nie zapomniałaś o obiecany tańcu, córeczko?

Ginny z przerażeniem uderzyła się dłonią w czoło.

- Tak mi przykro, tato - w istocie zapomniała o całym świecie. - Jesteś zmęczony? Chcesz teraz tańczyć? A może po prostu pojedziemy do domu?

Kątem oka zobaczyła, że Bret odchyliwszy się do tyłu z zainteresowaniem obserwuje jej poczynania.

- Nie trzeba, nic mi nie jest - pokręcił głową Hugh. - Pojadę jednak do domu. Obejrzałem już wszystko, zresztą za godzinę zamykają. Bret odwiezie cię do domu.

Ginny z przykrością powróciła do rzeczywistości. Postąpiła odwrotnie, niż uprzednio zakładała - zbliżyła się do Breta. Musi być chyba czarodziejem, skoro ją tak omotał. Z drugiej strony przyznała jednak uczciwie, że nie broniła się przed nim specjalnie.

- Pojadę z tobą, tato. Możesz mnie potrzebować - szybko zgarnęła ze stolika tacki i serwetki. Wyrzuciła je do śmietnika.

Wtem Bret znalazł się obok niej.

- To byłoby aż za dobre - powiedział.

- Co? - spytała, odgarniając włosy do tyłu.

- Cały wieczór z tobą, nie licząc recydywy, podstępów i obaw.

- Nie rozumiem.

- Zapomniałaś, że zostawiłaś torebkę w moim samochodzie? Czemu ja nie miałbym cię odwiedzić?

Bret wydawał się bardzo rozczarowany jej zachowaniem, nie rozumiała jednak dlaczego.

- Nie szkodzi. Jutro ją odbiorę - odwróciła się w stronę ojca, który przyglądał się im z niezdrowym zainteresowaniem. - Idziemy, tato?

Kątem oka zauważyła, że ojciec i Bret wymieniają znaczące spojrzenia. Zanim zdążyła domyśleć się, o co chodzi, Bret powiedział:

- W takim razie do jutra, Ginny. Dobranoc.

Wzięła ojca pod ramię i ruszyła pospiesznie wiedząc, że Bret odprowadza ich wzrokiem.

Gdy już oddalili się od terenów festynu, siedzący za kierownicą Hugh odezwał się nieśmiało:

- Wiesz, zastanawiałem się nad czymś.

- Nad czym? - spytała machinalnie.

Myślała o wieczorze spędzonym z Bretem, o tym jak się przy nim czuła, no i o pocałunku. Boże, cóż to był za pocałunek!

- Potrzebuję więcej samotności podczas pisania książki. W domu wszystko mnie rozprasza. Dave Mintnor wspomniał mi coś o chatce nad jeziorem, którą podarował mu znajomy. Zamierzam ją wynająć.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Nie twierdę, że ta chata stoi na zupełnym bezludziu, chociaż widziałam zdjęcia posterunków legii cudzoziemskiej położonych bliżej cywilizacji - z przerażeniem w sercu Ginny zagłębiła obcas w miękkim podłożu i odwróciła się powoli. Przyjrzała się dokładnie drzewom okalającym niewielkie jezioro, nad którym ojciec wynajął sobie domek. Nad brzegiem stało jeszcze parę innych, ale sprawiały wrażenie opuszczonych. Skończył się letni sezon, nadciągała zima.

Miejsce było rzeczywiście przepiękne, lecz Ginny przygryzła ze zmartwienia wargę, myśląc, że drzewa i gęste poszycie wkrótce pozółkną. Kto wie, jakie dzikie zwierzęta kryją się w tych wysokich trawach?

- Nie sądzisz, że te drzewa i krzaki mają złowrogi wygląd? Zupełnie jak las z bajki o Czarodzieju z krainy Oz? - spytała Breta.

- Przesadzasz - Bret dźwignął ostatnie pudło z rzeczami Hugh'a z bagażnika geo i zatrzasnął klapę.

Ginny pomyślała, że do przewiezienia wszystkich potrzebnych ojcu rzeczy, przydałyby się co najmniej dwa samochody.

Bret rozejrzał się po otaczających go drzewach.

- Teraz już wiesz, jak czuję się, mieszkając w tym przedstawiającym las bohomazie.

- Tylko nie bohomazie - odparła, broniąc nauczycielki rysunku. - Jest o wiele pogodniejszy od tego krajobrazu.

- Czy naprawdę myślisz, że duży zły wilk skryje się pośród drzew i porwie ci tatę? Powinnaś raczej martwić się o siebie. Droga do Webster jest daleka i będziemy całkiem sami.

Normalnie Ginny znalazłaby jakąś ciętą odpowiedź, ale teraz martwiła się o Hugh'a. Od festynu upłynął cały tydzień. W tym czasie na przemian złorzeczyła, błagała i dąsała się - wszystko na próżno. Zadzwoiła nawet do Carrie namawiając

ją, by przekonała ojca, że w domu ma znakomite warunki do pracy. Carrie przyjechała na weekend, cierpliwie wysłuchała obu stron i ku rozczarowaniu Ginny, poparła ojca. Ginny twierdziła, że kiedy jest w pracy, ojciec ma cały dom dla siebie.

Hugh upierał się, że nie można narzucać sobie z góry czasu pracy twórczej. Napisał już parę rozdziałów, ale teraz chce być zupełnie sam, nawet wieczorami.

Ginny, która nigdy przedtem nie słyszała, żeby ojciec mówił w ten sposób, nie wiedziała, co ma o tym sądzić. Wreszcie doszła do wniosku, że pisanie książek różni się zasadniczo od pracy dla czasopisma. Życzyła, co prawda, ojcu wszystkiego najlepszego, ale chciała mieć go bliżej siebie.

Musiała przyznać, domek był bardzo przytulny. Na parterze wielki salon z kominkiem łączył się z kuchnią. Powyżej znajdowała się sypialnia i łazienka. Wystarczająco miejsca jak dla jednej osoby. Wnętrze, wyłożone świerkową boazerią i ozdobione kilimami, umeblowano ciężkimi sprzętami w stylu wczesnoamerykańskim. Hugh miał mnóstwo jedzenia, a wielkie polana w drewnitni gwarantowały, że nie zamarznie aż do wiosny. Ginny wymusiła na nim nawet kupno telefonu komórkowego. Mimo to nadal była niespokojna.

Bret dostrzegł lęk na jej twarzy. Przytrzymał pudło jedną ręką, podszedł do Ginny i objął ją w pasie.

- Ginny, to już całkiem duży facet i nie musisz się o niego zamartwiać.

- Nic takiego nie powiedziałam! - odskoczyła do niego jak oparzona.

Bret uśmiechnął się do niej wyrozumiale.

- Nie musisz nic mówić. To od razu widać.

- Wchodzę do środka - powiedziała Ginny, kierując się ku drzwiom chaty.

Nim dotknęła klamki, otworzył je Hugh. Przystanąła ze zdziwienia.

- Spieszysz się, prawda, kochanie? - spytał Hugh.

Popatrzył na idącego z tyłu Breta.

- Wcale nie. Mam zamiar poukładać to wszystko w kuchni.

- Nie musisz się tym zajmować.

- Ale chcę, tato - oznajmiła i weszła do środka.

- Nie grzeb się zbyt długo - Hugh spojrział na wydłużające się cienie. - Ani się obejrzysz, jak zapadnie noc.

- Będziemy musieli wkrótce ruszać - dodał Bret, idąc w ślad za Ginny do kuchni. - Pomogę ci.

Hugh stał w drzwiach, obserwując resztki promieni słonecznych igrających na powierzchni wody.

- Rozejrzę się nieco na brzegu.

- Dobrze, tato - Ginny chciała dodać, żeby uważał na siebie, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język.

Po co Bret ma pokpiwać z niej. Zaczęła rozpakowywać kartony wypełnione artykułami spożywczymi, które pracowicie wybrała w sklepie w Webster.

Może Bret ma rację, pomyślała pakując jajka i mleko do lodówki. Chyba trochę przesadzam. Skrzywiła się z niesmakiem stwierdzając, że przywiezione zapasy wystarczyłyby Hughowi na poranny omlet z trzech jaj przez następne dwa tygodnie. Jarzynami i daniami w puszkach można by wyżywić w tym czasie czteroosobową rodzinę.

Tak naprawdę nie chodziło jej o Hugh'a. Problem polegał na tym, że nie wiedziała, jak będzie czuła się sama w pustym domu mając Breta mieszkającego drzwi w drzwi.

Bret ustawiał puszki w szafce. Ginny zerknęła w jego stronę i zauważyła, że bez trudu brał po dwie w jedną rękę. Zanim zdołała powkladać łatwo psujące się produkty do lodówki, zdążył już opróżnić jedno pudełko, porządkując przy tym puszki według etykietek. Pracował bardzo wydajnie, mimo że ruchy miał o wiele wolniejsze niż w czasach, gdy byli małżeństwem.

Zdumiała ją ta przemiana i naprawdę nie wiedziała, co o tym sądzić. Człowiek, za którego wyszła, nie pomógłby nikomu oprócz najbliższej rodziny,

chyba że chodziłoby o jego karierę. Teraz wcale się nią nie przejmował. Ginny dowiedziała się od Doris, że po przyznaniu Bretowi nagrody MacKellara dzwoniło do niego paru wydawców z propozycjami pracy.

Bret nie wydawał się tym zainteresowany. Najwyraźniej zadowalało go stanowisko naczelnego redaktora „Heralda”. Czyżby źle go oceniła? Naprawdę nie zamierzał spakować się i wracać do wielkiego miasta?

Gdyby wyjechał, tęskniłaby. Choć z drugiej strony wolałaby, żeby tak się stało. Obawiała się Breta, zwłaszcza od czasu wspólnie spędzonego wieczoru na festynie. Jego bliskość, pocałunki sprawiły, że zachwiał się kruchy mur, którym Ginny odgrodziła się od swoich uczuć. Jeśli nie zachowa należytej ostrożności, mur pryśnie niczym mydlana bańka.

Bret odwrócił się z nienacka i zobaczył znieruchomiałą Ginny, wpatrującą się w niego z podziwem.

W rękach trzymała marchew i sałatę. Lekki uśmiezek Breta powiedział jej, że domyślił się wszystkiego. Była pewna, że resztę zdradził nagły rumieniec na jej twarzy.

Na szczęście Bret zachował się, jak gdyby nigdy nic.

- Nie musisz martwić się o niego, Ginny. Poradzi sobie.

- Chyba... masz rację - pospiesznie wróciła do swoich zajęć.

Kiedy wreszcie skończyła i wyprostowała się, Bret stał oparty o blat kuchenny. Ręce skrzyżował na piersi.

- Czy pamiętasz, jak razem pracowaliśmy w naszej kuchni? - odezwał się cichym, rozmarzonym głosem.

Ginny wolałaby zapomnieć. Chwyciła ściereczkę i zaczęła pracować wycierać suchy blat.

- Ponieważ zazwyczaj cię nie było, zdarzało się to bardzo rzadko.

- Trafiały się i dobre chwile - odparł podsuwając się bliżej. Ginny spojrzała na niego podejrzliwie, bo zorientowała się, że zagroził jej drogę. - Gdy wreszcie

byliśmy razem, rzucaliśmy się sobie w ramiona, przepraszaali nawzajem, całowali i w końcu szliśmy do sypialni kochać się.

- Bret... - wyjąkała Ginny, broniąc się przed zalewem nie chcianych wspomnień. - Nie mówmy o tym więcej.

- Boisz się?

- To mnie nudzi.

Bret roześmiał się i w tej samej chwili wrócił Hugh. Ojciec zdjął buty, postawił je pod krzesłem i wytarł dłoń wielką chustką do nosa.

- Cholerne błoto - mruknął popatrując na nich.

Ginny była pewna, że ojciec dostrzegł jej rumieńce i rozbawiony wzrok Breta. Hugh pominął to jednak milczeniem.

- Bagnisty brzeg - dodał.

Ginny zadowolona ze zmiany tematu wyciągnęła rękę do ojca.

- Daj, wrzucę ją do kosza na brudną bieliznę.

- Nie - Hugh wepchnął chustkę do kieszeni. - Zrobię to później. Nie musicie ze mną siedzieć - skinął w stronę okna, za którym zachodziło słońce. - Zbierajcie się lepiej do domu. Znosi się chyba na deszcz.

Myśl o powrocie napawała Ginny przerażeniem. Po raz pierwszy w życiu będzie sama. Z domu, w którym mieszkała z ojcem i siostrą, przeniosła się do tętniącego gwarem college'u. Później związała się z człowiekiem, wypełniającym sobą dom nawet podczas nieobecności.

Hugh uścisnął dłoń Bretowi.

- Opiekuj się dobrze moją córeczką i moją gazetą, Bret. Wiem, że mogę ci je powierzyć.

Wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Ginny nie mogła nic z tego pojąć. Bret z entuzjazmem potrząsnął dłonią Hugh'a.

- Tak jest. Może pan na mnie polegać. Zaczekam na zewnątrz - dodał zwracając się do Ginny i ze szczęśliwą miną ruszył w stronę drzwi.

Hugh odetchnął z ulgą. Wyglądało na to, że ci dwaj mężczyźni dobili targu. Ginny miała nadzieję, że nie chodziło o nią, nie była jednak aż tak naiwna.

- Tato, chyba nie zamierzasz serio oddać mnie pod opiekę Breta?

Ojciec zrobił zdziwioną minę.

- Oczywiście, że nie. Jesteś już dojrzałą kobietą. Masz swój zawód, przyjaciół. Pod moją nieobecność będziesz się mogła nawet z kimś umawiać. Słyszałem, że Joe Franklin znów jest do wzięcia.

Ginny wzniosła oczy do góry.

- Tato, nie interesuje mnie jeden z twoich byłych dziennikarzy. Joe ma trzydzieści lat, wygląda na pięćdziesiąt, a zachowuje się jak smarkacz. Właśnie rozszedł się z trzecią żoną.

- Szkoda - westchnął Hugh.

Ginny objęła ojca w pasie i przytuliła głowę do jego piersi. Opiekowała się nim przez ostatnie miesiące, będzie go jej na pewno bardzo brakowało.

Zamknęła oczy i przypomniała sobie czasy, gdy jeszcze żyła matka. Wówczas Ginny była małą, beztroską dziewczynką. Nagle zdała sobie sprawę, że ojciec wyprowadzając się pragnie przywrócić jej te beztroskie lata.

- Kocham cię, tato - powiedziała, puszczając go wreszcie. - Mam nadzieję, że zobaczymy się podczas Święta Dziękczynienia.

Na szczęście, to już za miesiąc.

- Możesz na mnie liczyć - odprowadził ją do samochodu.

Gdy odjeżdżali, Ginny odwróciła się i pomachała ojcu. Hugh stał uśmiechnięty na stopniach domku.

- Nic mu nie będzie, Ginny - odezwał się zza kierownicy Bret.

- Wiem.

- Tobie również nic nie grozi.

Ginny nie odpowiedziała. Usiadła prosto. Mały sportowy samochód mknął prywatną drogą dojazdową. Od szosy dzieliło ich osiemnaście kilometrów

żwirówki, a stamtąd jeszcze osiemdziesiąt do Webster.

Zapadła noc, ze wschodu nadciągały ciemne chmury. Ginny czuła, że powinna bardziej martwić się o Hughę, ale obecność Breta wpływała na nią uspokajająco. Świadomość uzyskania niewyobrażalnej dotychczas swobody cieszyła ją i podniecała. Oparła się wygodnie i obserwowała migające w świetle reflektorów drzewa. Mimo zmęczenia zaczęła zastanawiać się nad siedzącym obok mężczyzną.

Bret stanowił dla niej tajemnicę, którą coraz bardziej chciała rozwiązać. Podczas ubiegłego weekendu odbyła z siostrą długą, babską rozmowę. Carrie odgrywała rolę adwokata diabła, pytając Ginny, co może ją spotkać gorszego od ponownego zbliżenia się z Bretem.

Ginny dobrze znała odpowiedź. Mogła się w nim jeszcze raz zakochać.

Ujechali jakieś dwanaście kilometrów, gdy Bret zwolnił nagle. Ze zdziwieniem wpatrywał się w czerwone światełko jakiegoś wskaźnika.

- O psiakość - mruknął zjeżdżając z drogi.

- Co się stało? - sennie spytała Ginny.

- Świeci się lampka chłodnicy - wyjął latarkę ze schowka i poszedł zajrzeć pod maskę.

Ginny wyszła również w mrok nocy. Stojąc obok siebie patrzyli na silnik.

- Cholera - zaklął Bret, przyświecając sobie latarką. - Pękł wąż chłodnicy.

- O, nie - Ginny zadrżała, nerwowo rozglądając się wokół. - I co teraz zrobimy?

Bret wziął się pod bok i spojrzał na nią dziwnym wzrokiem.

- Rozbieraj się.

- Cooo?

Oświetlił jej buty.

- Czy masz rajstopy?

- Bret, ty chyba oszalałeś!

- Odpowiadaj - oślepił ją światłem latarki.

- Nie, nie mam rajstop - odparła odsuwając latarkę na bok. - Żadna normalna kobieta nie nosi rajstop do džinsów.

- Niech to licha - znów zajrzał pod maskę.

Ginny odczekała chwilę, ale nie usłyszała żadnych wyjaśnień. Poklepała go po ramieniu.

- No więc?

- Co więc?

- Czemu mnie o to spytałeś?

Odwrócił się w jej stronę. W ciemnościach mogła dostrzec lśniąco w uśmiechu zęby.

- Może chciałem sprawdzić, na co się odważysz w tej głuszy?

- Nie wierzę - odparła drżącymi wargami.

- No dobrze. Przyznaję się. Czytałem gdzieś, że można prowizorycznie naprawić pęknięty wąż, owijając go nylonowymi rajstopami.

Ginny popatrzyła na niego sceptycznie.

- Czy zrobiłeś to naumyślnie, żeby sprawdzić swoją teorię?

- Oczywiście, że nie. Aż tak bardzo mi nie zależy, żeby zostać z tobą sam na sam.

Ginny pokazała mu język.

Bret zignorował zaczepkę i zatrzasnął maskę.

- Nic tu się nie da zrobić. Chodźmy, to tylko sześć kilometrów.

- Mamy iść na piechotę? - Ginny popatrzyła na drzewa. Z każdą chwilą wydawały się coraz bardziej złowrogie.

- Chyba że wolisz poczekać tu na mnie. Nie martw się, obronię cię przed dzikimi zwierzętami.

Padający z dołu blask lampki wewnątrz samochodu podświetlał twarz Breta, nadając jej demoniczny wygląd.

A kto obroni ją przed Bretem? Ginny czuła się nieswojo, gdy Bret zamknął



drzwiczki i schował klucze. To głupie, razem będą bezpieczni. Nie wiadomo, kiedy ktoś będzie tędy przejeżdżał i wołała wówczas nie być sama.

- Lepsza stara bieda od nieznanego szczęścia - mruknęła pod nosem.

- Mówiłaś coś?

- Nie, nic.

- Chodźmy - powiedział, podając jej rękę. - To zajmie nam jakąś godzinę. Kto wie, może znajdziemy po drodze domek z telefonem?

Ginny zadowolona z tego, że Bret ma jakiś plan poczuła się przy nim bezpiecznie. Wzięła torbę z tylnego siedzenia i poszła. Po jakichś stu metrach przewiał ją chłodny wiatr.

- Zapomniałam kurtki - wzięła latarkę z ręki Breta. - Daj kluczyki, wrócę po nią.

- Sam mogę...

- Nie, nie. To potrwa tylko chwilę - pospieszyła z powrotem, otworzyła samochód i porwała z siedzenia dzinsową kurtkę. Ubrała się szybko, wcisnęła blokadę drzwi, zatrzasnęła je, zarzuciła torbę na ramię i pobiegła w stronę Breta.

- W porządku? - Bret obejrzał ją w świetle latarki i z uśmiechem poprawił przekrzywiony kołnierzyk.

- Tak - odparła mile ujęta tym gestem Ginny - ale jeśli będziemy szli szybko, może być nawet za gorąco.

- Nie licz na to. Przed chwilą poczułem pierwszą kroplę deszczu.

- Żartujesz - Ginny spojrzała w niebo i kolejna kropla trafiła ją prosto w oko. - Niestety, nie żartowałeś - dodała smętnym tonem. To nie była najszcześniejsza chwila w jej życiu. Rozpadało się na dobre. - I co teraz?

- Zmiana planów. Przeczekamy deszcz w samochodzie.

Ginny zawróciła z westchnieniem. Nie mogło jej spotkać nic gorszego niż uwięzienie z Bretem w ciasnej przestrzeni.

- Daj mi kluczyki - powiedział Bret, kiedy dotarli do samochodu.

- Przecież ci je oddałam - zdziwiła się Ginny.

Bret przeszukał kieszenie wiatrówki i spodni.

- Niestety nie.

- Na pewno ci je oddałam - upierała się Ginny grzebiąc w torebce.

- No, jeżeli włożyłaś je do torebki, nie znajdziemy ich aż do rana - jęknął

Bret. Oświetlił latarką wnętrze samochodu. - Spójrz.

Na siedzeniu połyskiwały kluczyki. Ginny musiała upuścić je, sięgając po kurtkę. Bret obserwował ją w milczeniu.

Ginny widząc wściekłość w jego oczach, bezradnie rozłożyła ręce.

- Pech.

Bret, z trudem panując nad sobą, uderzył się dłonią w czoło.

- Jestem niespotykanie spokojnym człowiekiem, Ginny.

- Doceniam to, wierz mi - odparła z przekonaniem.

Z niewytłumaczalnych przyczyn sytuacja nagle rozbawiła ją. Wewnątrz narastał histeryczny śmiech, lecz nie ośmieliła się pisnąć. Odchyliła się jedynie w tył i otarła twarz z deszczu.

Bret włożył ręce do kieszeni i zakołysał się na obcasach. Wiedziała, że wzbiera w nim wściekłość.

- Większość mężczyzn nie byłaby tak wyrozumiała stojąc na deszczu, gdyby ich żony zatrzasnęły kluczyki w aucie.

- Masz rację, ale ja nie jestem twoją żoną.

- Tym gorzej - podniósł głos, odgarniając włosy z czoła. - Gdybym cię udusił, niektórzy sędziowie dopatrzyliby się okoliczności łagodzących.

- Nie zrobiłbyś tego. Czy zastanowiłeś się, jak bardzo zmartwiłbyś Hugh'a i Carrie? Przecież ich lubisz.

- Bardziej niż ciebie w tej chwili.

- Przykro mi to słyszeć, Bret - powiedziała starając się, aby zabrzmiało to

smutno. Nie musiała się specjalnie wysilać. W narastającym deszczu przeszła jej ochota do śmiechu. Zaległa cisza. Mokli coraz bardziej. Ginny zadrżała - Bret?

- Tak? - syknął z ciemności.

- Co teraz zrobimy?

- Nie wiem.

- Moglibyśmy wybić szybę i otworzyć drzwi.

Popatrzył na nią, jakby namawiała go do popełnienia zbrodni.

- Bret, to tylko samochód.

- Ale zupełnie nowy.

Ginny nie wdała się w dyskusję, tylko wzięła latarkę i oświetliła zamek.

- Nie mógłbyś go wyłamać?

- Ginny - warknął zniecierpliwiony Bret - jestem dziennikarzem, nie włamywaczem.

- To była tylko propozycja.

- Bardzo głupia.

- W takim razie wymyśl coś.

- Wymyślę.

- Kapitalnie!

Po sprzeczce nastąpiła długa chwila milczenia, w trakcie której Ginny cierpliwie znosiła deszcz. W końcu kichnęła i z wyższością popatrzyła na Breta.

- Czy masz już jakiś plan?

Bret z nieszczęśliwą miną odebrał jej latarkę.

- Będziemy musieli zacząć od nowa - jęknął. - Idziemy.

Odwrócił się, wziął ją pod rękę i poszli. Ginny próbowała się odsunąć, ale Bret ją przytrzymał.

- Nawet o tym nie myśl, Ginny. Nie chcę, żebyś wpadła w błoto.

- Jesteś bardzo troskliwy - odparła przez zaciśnięte zęby.

Obawiała się, że jeśli szerzej otworzy usta, rozzwonią się jak kastaniety.

Kiedy pomyślała o tym, jak bardzo jest jej zimno, deszcz zmienił się w ulewę.

- Idąc szybciej rozgrzejemy się.

Przemarznięta do szpiku kości Ginny nie potrafiła sobie tego wyobrazić. Skinęła jedynie głową i skuliła się, brnąc wśród strug wody. Bret był w równie opłakanym stanie co ona, nie skarżył się jednak. Gdyby zgodził się wybić szybę w aucie, nie zmokliby tak strasznie.

Przyspieszyli kroku w nadziei na napotkanie jakiegoś samochodu. Nic jednak nie nadjechało, a polna droga zamieniła się w grząską maź. Przylepiała się do butów utrudniając marsz.

Oddalili się od samochodu o jakiś kilometr, gdy Bret zatrzymał się i zaczął wypatrywać coś pomiędzy drzewami.

- Spójrz - pokazał ręką.

Ginny popatrzyła w tym kierunku, ale w pierwszej chwili niczego nie dostrzegła. Chmury nad ich głowami rozstały się na moment, przepuszczając światło księżyca. Oczom Ginny ukazał się najpiękniejszy widok na świecie - dach domku.

Ginny wymamrotała dziękczynną modlitwę, a Bret złapał ją za rękę i pociągnął w stronę domku. Gnał niczym zmęczony koń do stajni, w której czeka na niego świeży obrok.

Ginny pędziła za nim, ślizgając się w błocie, ścieżką oświetloną latarką Breta.

- Jak go wypatrzyłeś? - spytała nadażając z trudem.

- Spostrzegłem przerwę pomiędzy drzewami.

Ginny skrzywiła się z niesmakiem. Nie musiał mówić tak triumfalnym tonem. Gdyby nie wlokła się ze spuszczoną głową, nie użalała się nad sobą, mogłaby pierwsza zauważyć to miejsce.

Dotarli do małego domku na palach. Pod spodem było coś w rodzaju wiaty na samochód. Do wejścia wiodły chwiejące się schodki. Wbiegli po nich i jednocześnie zaczęli pukać do drzwi. Odczekali chwilę i zastukali ponownie.

Przez ten czas ulewa nasiliła się. Przemokli do suchej nitki. Wreszcie Bret odwrócił się w stronę Ginny, otarł wodę z czoła i oświadczył:

- Nikogo nie ma w domu.
- N... nie ... żartuj - wyszczękała Ginny.
- Mamy tylko jedno wyjście.
- Jakie?
- Musimy się włamać.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Twierdziłeś przedtem, że nie umiesz wyłamać zamka - Ginny podkreśliła swą wypowiedź kichnięciem i zaczęła rozcierać zmarzniętą twarz.

- Nie zamierzam go wyłamywać, tylko się włamać.

Ginny spojrzała na Breta z przerażeniem.

- O, nie! Może lepiej przeczekamy deszcz pod wiatą. Założę się, że jest tam całkiem sucho.

Bret spojrzał na nią. Zorientował się, że Ginny goni resztkami sił. Trzęsła się tak mocno, że aż trzeszczały luźne deski podestu.

- W ten sposób dorobisz się jedynie zapalenia płuc. Nie martw się. Zapłacę za szkody - pochylił się i zbadał dokładnie zamek. Gwizdnął ze zdziwienia. - Chyba nie narobimy żadnych szkód. Otworzę go kartą kredytową.

Ginny przyglądała się, jak Bret wyciąga z portfela kartę kredytową, wsuwa ją w szparę w drzwiach pod zamek i jak karta pęka na dwie równe części.

Mimo zmęczenia Ginny głośno roześmiała się na widok zdumionego wyrazu twarzy Breta.

- Czy tego właśnie nauczyli cię twoi kumple gliniarze?

- To cholerstwo musiało zamarznąć - zde gustowany Bret schował połamaną kartę do kieszeni.

- Spójrzmy prawdzie w oczy - stwierdziła Ginny odpychając go na bok. - W tej dziedzinie nie jesteś specjalistą.

- Za to ty, z pewnością tak.

- Zaraz sprawdzimy. Skoro mamy się włamać, zrobmy to jak należy - przez chwilę grzebała w przepastnej torbie i wyjęła z niej pilnik do paznokci. - Przyświeć - poleciła.

Gdyby Bret nie był tak przemoknięty, zacząłby się z nią spierać. Zgrabiałe palce odmawiały Ginny posłuszeństwa, w końcu jednak udało się jej prawidłowo wepchnąć pilnik i podważyć zamek. Drzwi otworzyły się, poczuli zaduch.

- Moja dzielna - mruknął Bret, wpychając ją do środka.

Oświetlił wnętrze latarką, znalazł kontakt, przekręcił go, ale nadal było ciemno.

- Wyłączyli prąd na zimę - powiedział i sprawdził, czym dysponują.

Umeblowanie było skąpe i spartańskie. Wyleniała kanapa, parę krzeseł wokół kręconego stolika, wbudowane w ścianę piętrowe łóżko - prycza. W rogu mieścił się kącik kuchenny. Nie zwracali na to wszystko uwagi, pochłonięci poszukiwaniem najważniejszej rzeczy. Odetchnęli z ulgą na widok żelaznej kozy. Ucieszyli się również z odkrycia staroświeckiego wiaderka na węgiel wypełnionego papierami i szczapami na podpałkę.

W ciągu paru minut Bret rozpałił ogień. Najpierw zszedł do wiaty, w której zauważył przedtem równo przycięte drwa, potem dokończył dzieła za pomocą znalezionych w kubelku zapalek. Małą chatkę wypełniło zbawienne ciepło.

Ku zdumieniu Ginny, zrobiło się jej jeszcze zimniej. Zaczęła trząść się coraz mocniej. Wyglądało na to, że otwarcie drzwi wyczerpało ją do reszty i nie potrafiła już zapanować nad sobą.

- Mosisz ściągnąć z siebie te mokre rzeczy - nalegał Bret rozglądając się dokoła.

Wypatrzył lampę naftową i szafę. Poszperał w środku, wyciągając stamtąd

stare, pachnące stęchlizną dresy. Jeden cisnął Ginny, drugi zostawił sobie.

- Dziękkuję - wyszczękała Ginny. - Gdzie jest łazienka?

Bret parsknął śmiechem, ściągając kurtkę i koszulę. Światło naftowej lampy złociło włoski na jego piersi.

- Kochanie, to jest chatka, a nie pięciogwiazdkowy hotel. Musisz przebrać się tutaj. Zresztą, widziałem cię już nago - powiedział obojętnie.

Oczy jednak błyszczały mu figlarnie.

Ginny zacisnęła zęby, starając się wyglądać surowo. Fakt, że Bret oglądał ją przedtem nago, był ostatnią rzeczą, o której chciała pamiętać. Zdawała sobie przy tym sprawę, że w tej chwili prezentuje się równie atrakcyjnie, co zmokła kura. Z miną świadcząca o tym, że robi to wyłącznie ze względu na okoliczności, Ginny wzięła suche ubranie i odwróciła się tyłem do Breta. Roześmiał się. W chwilę później usłyszała, że Bret również się rozbiera.

Ginny błyskawicznie zdjęła kurtkę, bluzkę i wciągnęła przez głowę górę od dresu. Sięgała jej aż do połowy ud. Zadowolona, że bluza zasłania ją przed spojrzeniem Breta, zzuła zabłocone buty i rozpięła dżinsy. Obcisłe i przemoczone sprawiły jej nieco kłopotu, ale uporała się z tym również. Wtedy włożyła resztę.

Spodnie od dresu były przepastne. Musiała podciągnąć je pod pachy i podwinąć nogawki. Wreszcie odwróciła się, by rozwiesić mokre ubranie. Stała jak wryta.

Bret jeszcze nie skończył się przebierać. Zdjął już dżinsy i założył dres, który pasowałby raczej na Ginny. Sięgał mu zaledwie do bioder. Bret podszedł bliżej do lampy, tak że Ginny mogła wyraźnie zobaczyć delikatne włoski na płaskim, umięśnionym brzuchu. Wreszcie Bret wziął bluzę i powoli włożył ją przez głowę.

Ginny usiłowała nie patrzeć, nerwowo przetykając ślinę, ale nie mogła odwrócić wzroku. Bret przyglądał dłońią wilgotne włosy.

- Coś nie tak? - spytał spoglądając na Ginny.

- Sskąd? - wykrztusiła, szybko przysunęła dwa odrapane krzesła do piecyka i

rozłożyła na nich rzeczy. Bret zrobił to samo i poszedł przynieść więcej drewna.

Ginny zbadła wówczas prycze, chociaż nie spodziewała się znaleźć w nich nic, poza mysimi gniazdami. Chata była tak brudna, że nie mogła pogodzić się z myślą o spędzeniu w niej nocy. Chociaż konstrukcja łóżka wyglądała na solidną, deski leżały na nich luzem. Zwały kurzu pod oknem podsunęły jej myśl, że zainteresowały się nimi korniki, ale doszła do wniosku, że prycze wytrzymają, o ile będą się z nimi obchodzić ostrożnie.

Podejrzliwie rozwinęła zrolowane w nogach łóżek materace i odetchnęła z ulgą widząc, że nie zawierają niczego oprócz kurzu i paru martwych robaków. Zdmuchnęła je na podłogę. Była szczęśliwa, że ona i Bret mają oddzielne posłania. Teraz pozostawało jedynie znaleźć jakieś poduszki i koce.

- Przestało padać - oznajmił Bret, przynosząc ostatnie naręcze drew. Zwalił je obok kozy. - Rano udamy się na szosę po pomoc. Nic nie mów, Ginny - dodał widząc, że dziewczyna otwiera usta. - Nie wyjdziemy stąd do rana, nawet jeżeli całkiem przestanie padać. Przemarzliśmy na kość.

Nie miała nawet takiego zamiaru. Na widok nagiego torsu Breta sama myśl o wspólnym spędzeniu nocy po tylu miesiącach rozłąki działała na nią rozgrzewająco. Wyciągnęła ręce w stronę buchającego żarem piecyka.

- Oczywiście, Bret. Czy nie znalazłoby się tu coś do jedzenia?

- Nie wiem. Jeśli na tym świecie istnieje jakaś sprawiedliwość, w twojej torbie powinien być obiad z siedmiu dań.

Ginny pokazała mu język.

Bret chichocząc poszedł do kuchennego kąta i przejrzał zawartość kredensu.

- Jest tylko trochę herbaty ziołowej - potrząsnął torebką. - Pewnie dawno zwietrzała, ale mogę spróbować, jeśli się zdecydujesz.

Ginny zrobiło się głupio. Bret najwyraźniej widział wszystko inaczej niż ona. Miał do tego prawo. Przecież przez ostatnie tygodnie robiła wszystko, by przekonać go, że łączą ich tylko sprawy służbowe. To tylko jej uginały się kolana na



wspomnienie podniebnego pocałunku. Chociaż od czasu festynu niepokoiły ją szalone myśli i pragnienia, powściągała je starannie. Bret wyczuwał jej stan emocjonalny, ale Ginny nie reagowała na jego mniej lub bardziej subtelne zaczepki.

Przywołała go skinieniem ręki.

- To wspaniale, ale skąd wziąć wodę i jak ją podgrzać?

Bret uśmiechnął się chytrze.

- Miej do mnie nieco więcej zaufania - złapał czajnik, latarkę i ruszył w stronę wyjścia. - Na zewnątrz widziałem ręczną pompę. A pokrywa pieca nie bez powodu jest płaska. Postawimy na niej czajnik.

Zrobili tak, jak powiedział i niebawem mieli po filiżance parującego napoju. Okazał się zdumiewająco smaczny. Bret z kocy i poduszek wymościł im przytulne gniazdko na wytartym dywanie koło pieca.

Ginny początkowo przyglądała się temu nieufnie, ale Bret robił to z takim zapalem, że w końcu przyłączyła się do niego. Wsparła się plecami o poduszkę i postawiła gorącą filiżankę na spowitym w gruby dres brzuchu. Parę łyków herbaty rozgrzało ją i odprężyło.

Gdyby ktoś spytał ją w tej chwili, co czuje - odpowiedziałaby, że lekki niepokój i szczęście z przebywania sam na sam z Bretem, który traktował ją jak siostrę.

Bret pociągnął łyk herbaty, skrzywił się i spytał:

- Wygodnie ci?

- Tak.

- Ciepło?

- Tak.

Milczeli, słuchając trzaskania polan w piecu. Ginny zerknęła na długie, wyciągnięte w stronę kozy nogi Breta. Podwinął palce, a bose stopy założył jedna na drugą. Przypomniała sobie, że robił tak zawsze w chwilach skupienia.

Nagle powróciły wspomnienia z czasów, gdy byli razem. Ginny wydawało się, że pogrzebała je na zawsze. Odżyły jednak na nowo i nie mogła się przed nimi obronić.

- Jesteśmy sami, Ginny - odezwał się Bret, jakby odgadując jej myśli.

Spojrzała na niego nerwowo, potem znów utkwiała wzrok w filiżance.

- Wiem.

- Zostaniemy tu przez całą noc. Ciekawe, czy spodziewałaś się tego, zatrzasnąjąc kluczyki w samochodzie?

- Co? - wyprostowała się gwałtownie.

- To się nazywa „czynności omyłkowe” prawda? - Bret odstawił filiżankę i wyciągnął się na wznak.

- Bret, ty chyba oszalałeś?

Nonszalancko wzruszył ramionami. Oczy jednak błyszczały mu dziwnie.

- Wcale nie. Zastanawiam się tylko, czy doszłaś już do wniosku, że wreszcie pora porozmawiać.

Ginny lekko odsunęła się od niego.

- O czym?

- O tym, czemu mnie opuściłaś. Minał miesiąc, odkąd po raz ostatni spytałem cię o to. Jak wspomniałem, jestem cierpliwym człowiekiem, ale chcę poznać prawdę.

Ginny spoglądała na niego z konsternacją. Miała już nadzieję, że Bret zrezygnował z tego tematu. Na próżno - upór był jedną z jego dominujących cech.

Odruchowo odstawiła filiżankę i zaczęła się podnosić. Bret złapał ją za nadgarstek i przyciągnął z taką siłą, że upadła mu na uda. Odsunęła się.

- Uciekamy? A dokąd to zamierzasz się udać, kochanie? - mówił łagodnym głosem, podczas gdy z oczu sypały mu się skry. - Na zewnątrz jest zimno i mokro, a poza tym, schowałem ci buty.

- Co takiego? - krzyknęła, rozglądając się w poszukiwaniu butów.

- Schowałem je, gdy poszedłem po resztę drewna - puścił jej nadgarstek. - Tak więc musisz zostać, nic na to nie poradzisz.

Ginny zrozumiała, że Bret wreszcie się odsłonił. Przez cały czas myślała, że próbuje się z tym pogodzić, a on czekał tylko na właściwy moment. W jego mniemaniu, właśnie nadszedł.

- Chyba, że jesteś tchórzem, o co cię oskarżałem - prowokował ją.

- Wcale nie.

- Więc powiedz mi, dlaczego?

To proste pytanie wstrząsnęło nią mocniej niż przypuszczała. Wiedziała, jak bezlitosny potrafił być Bret, jeśli przyłapał rozmówcę na kłamstwie. Uniknęła tego szczęśliwie. Wzięła głęboki wdech i postanowiła, że spróbuje szczerze mu wszystko wyjaśnić.

- Po upływie pierwszego miesiąca zorientowałam się, że wyszłam za kogoś obcego. Wszystko stało się w nieodpowiednim czasie. Pobraliśmy się zbyt szybko.

- Odkładanie właściwej decyzji jest wyłącznie stratą czasu. Pobraliśmy się w najlepszym momencie.

- Ale nie dla mnie - podniosła do ust filiżankę. Nie zaschło jej w gardle, chciała mieć jednak zajęte czymś ręce. - Potrzebowałam więcej czasu, zgody ojca - zerknęła błagalnie na Breta. - Hugh i ja pokłóciliśmy się strasznie w wigilię naszego ślubu.

Bret usiadł prosto i popatrzył na nią uważnie.

- Hugh mnie polubił. W przeciwnym razie nie zatrudniłby mnie.

- Owszem, ja również... bardzo się z tego cieszę, ale...

- Ale nie możesz zapomnieć o przeszłości?

Ginny odstawiła filiżankę na podłogę i nerwowo przeczesła włosy dłonią.

- Nie tylko o to chodzi. Sądziłam, że po ślubie wszystko się ułoży. - Oblizwała wargi. Bret przyglądał się jej bacznie. Było to trudniejsze, niż sądziła. Słowa, które zwykle przychodziły jej z łatwością, wyleciały nagle z głowy. - Od kiedy

zamieszkaliśmy razem, prawie cię nie widywałam. Nie sądziłam, że na tym właśnie polega małżeństwo.

- A jak, twoim zdaniem, powinno wyglądać?

Ginny wzruszyła ramionami i szeroki kołnierz dresu zsunął się jej z ramienia. Niecierpliwie podciągnęła go na miejsce.

- Tak, jak małżeństwo moich rodziców.

Włożyła kciuk do ust, ale Bret odsunął jej rękę. Przestraszona jego dotknięciem wyrwała się szybko. Ich spojrzenia skrzyżowały się. Bret patrzył na nią przenikliwym wzrokiem, jakby chciał wyczytać jej myśli.

- Czy nie podchodzisz do tego zbyt romantycznie? Twoja mama zmarła, kiedy miałaś zaledwie dwanaście lat - podniósł dłoń, widząc błysk gniewu w oczach Ginny. - Poczekaj, pozwól mi skończyć. Straciłem ojca, kiedy byłem w tym samym wieku. Pamiętasz o tym? Wiem, jak to wtedy jest - westchnął głęboko. - Nie twierdzę, że małżeństwo twoich rodziców było złe, ale odbierałaś je z wrażliwością dwunastolatki i dlatego może potem nie ułożyło się nam.

Ginny wsparła głowę na rękach i potarła dłonią czoło.

- Bret, jak mogło nam się coś ułożyć, skoro nigdy nie było cię w domu? Widywałam cię rzadko.

- Ale teraz jestem - rzekł cicho.

Na te słowa Ginny poderwała głowę. Obronnym gestem skrzyżowała ramiona na piersiach. W niebieskich oczach czaił się lęk.

- Ale na jak długo?

- Powiedziałem ci już, że zamierzam tu pozostać. Możemy rozwiązać wszystkie nasze problemy.

- Nie trzeba, Bret. Jesteśmy rozwiedzeni.

- To zabawne, ale wcale nie czuję się rozwiedziony. Zwłaszcza nie w tej chwili.

Podsunał się bliżej, hipnotyzując ją wzrokiem. Bez wysiłku rozwarł jej

skrzyżowane ręce, objął ją i przytulił do siebie.

- Och, Bret. Proszę cię, nie - nierówny oddech sprawił, że powiedziała to piskliwym głosem.

Serce waliło jej jak młotem.

- Co, nie? - spytał Bret, patrząc jej prosto w oczy. - Nie pragnąć cię? Przykro mi, ale nie mogę się przed tym powstrzymać. Nie tulić cię? Tego nie mogę również. Nie całować cię? Żadasz ode mnie niemożliwych rzeczy. O niczym innym nie mogę myśleć od tamtego wieczoru na festynie - Bret nie dał Ginny czasu na protesty.

Złożył jej głowę na poduszkę i przywarł wargami do jej ust.

Wiedziała, że powinna się opierać - postąpiłaby tak każda szanująca się kobieta - ale nie mogła. Z cichym pomrukiem przyzwolenia przeniosła się pamięcią w dawne dni. Wszystko było takie, jak zapamiętała. Mocne, ciepłe, zaborcze i cudowne wargi Breta. Dotyk jego rąk, gładzących twarz Ginny, pod wpływem którego topniała wewnątrz jak воск. Bret robił to tak delikatnie, jakby Ginny była najbardziej kruchą istotą na świecie. Jak mogła mu się oprzeć?

Nawet nie miała takiego zamiaru. Oddała pocałunek i upajała się przenikającym ją na wskroś rozkosznym drzeniem. Spragniona ciała Breta błędziła dłońmi po jego ramionach, przesuwała je wzdłuż umięśnionych rąk, przypominając sobie ich siłę, przywołując to wszystko, co było niegdyś piękne pomiędzy nimi.

Bez chwili wahania czy zastanowienia przyjęła jego pieśczoć i sama nie pozostała mu dłużna. Nikt inny nie potrafiłby tak czule obchodzić się z nią, dając równocześnie do zrozumienia, że niecierpliwie oczekuje wzajemności. Przez dłuższą chwilę byli dla siebie wszystkim.

- Schudłaś - szepnął Bret, wtulając usta w jej jedwabistą szyję. Ginny uświadomiła sobie, że dłonie Breta znalazły się pod bluzą od dresu i wędrują wzdłuż jej pleców. - Coś ty z sobą zrobiła?

Uniesiona emocjami Ginny nie pomyślała nawet o zatajeniu czegokolwiek.

- Po powrocie do domu nie mogłam wcale jeść. Martwiłam się o tatę i tym, że cię opuściłam. Czułam się jak... - w ostatniej chwili ugryzła się w język. I tak powiedziała już za dużo.

Bret podskoczył jak ukłuty szpilką. Odchylił się nieco. Namietność w jego wzroku mieszała się z wyrazem rosnącego zrozumienia. Przytrzymał Ginny pod brodę, by nie mogła odwrócić twarzy.

- Co takiego? Co chciałaś powiedzieć?

Ginny wzdrygnęła się niczym oblana zimną wodą.

- Nic, nic - wymamrotała rozpaczliwie, usiłując zyskać na czasie. Oswobodziła twarz z dłoni Breta, odsunęła się i obciągnęła bluzę. Poprawiła włosy. Bret puścił ją, ale gdy zerwała się na równe nogi, miała uczucie, że najchętniej posadziłby ją z powrotem.

Nie zamierzał pozwolić jej uciec. Wstał również. Ginny była wciąż oszołomiona tym, czego omal nie powiedziała i modliła się w duchu, żeby nie zmuszał jej do tego.

Stali naprzeciwko siebie obok rozgrzanego do czerwoności piecyka. Ciepło bijące od niego było niczym w porównaniu z żarem, jaki czuła w ramionach Breta. O czym wówczas myślała? Jeśli ponownie się w nim zakocha, nie wytrzyma rozstania. Tego się właśnie obawiała - miłości bez wzajemności. Później znów, zostałyby sama. Zmieszana i przestraszona, Ginny trzymała w dłoniach brzeg bluzy.

- Ginny - nalegał Bret - wyduś wreszcie, co chciałaś powiedzieć.

Pokręciła gwałtownie głową, rozwiewając wokół jasne włosy.

- Nieważne. To już nie ma znaczenia.

- Owszem, ma - Bret zbliżył się o krok i Ginny odskoczyła w popłochu. - Musisz mi wreszcie powiedzieć, co naprawdę czułaś, opuszczając mnie.

- Powiedziałam i tak za dużo - Ginny przykucnęła, przytrzymując obszerne spodnie.

Pozbierała poduszki i wrzuciła je na łóżka. Wzięła lampę naftową i poszukała w szafie koców. Znalazła dwa nadjedzone przez mole. Właściwie nadawały się tylko na podpałkę. Wytrzepała je, krzywiąc nos od niemiłego zapachu. Bret obserwował ją spokojnie.

Podszedł bliżej i wycelował w nią palec.

- Wiesz, że nie możesz dusić tego w sobie w nieskończoność. Pewnego dnia wszystko mi opowiesz.

Ginny rzuciła mu jeden koc. Bret pochwycił go bez trudu.

- Nie mam nic do dodania - oświadczyła.

Bret prychnął lekceważąco. W oczach znów zapłonął mu gniew.

- Boisz się. Czemu nie chcesz przyznać, że cię strach obleciał?

Dotknięta do żywego Ginny ujęła się pod boki.

- Bać się? A czego?

- Swoich własnych uczuć! Dobry Boże, za miesiąc kończysz dwadzieścia cztery lata. Pora wydorosnąć i spojrzeć prawdzie w oczy.

- Prawdzie w oczy? - krzyknęła Ginny. Nie zaspokojone pożądanie podsycalo w niej złość. - Już spojrzałam, dziękuję. Może byś wreszcie zrozumiał, że wolałabym, abyś ręce trzymał przy sobie!

Bret ze zdumienia szeroko otworzył oczy.

- Nie kłam przynajmniej! - wściekłym gestem wskazał miejsce na podłodze, gdzie się przed chwilą całowali. - Niespełna pięć minut temu pragnęłaś mnie równie mocno jak ja ciebie!

Ginny nie mogła zaprzeczyć, a wstydziła się przyznać mu rację. Spojrzała wyniośle i zmieniła temat.

- Które łóżko zajmujesz?

Bret miał minę, jakby chciał ją udusić.

- Czy wiesz, że jesteś najbardziej denerwującą istotą na świecie?

- Które łóżko zajmujesz?

- A co mi za różnica! - Bret wznosił ręce do nieba. - Bóg mi świadkiem, że powinniśmy dzielić wspólne łóżko!

- Dobrze. W takim razie wybieram górne.

- Niech ci będzie - Bret wziął głęboki oddech. - Ale jak się tam dostaniesz bez drabiny?

- Wskoczę - odparła, wrzucając koc na górę.

- Podstawię ci krzesło.

- Obejdzie się - powiedziała obrażonym tonem.

Popatrzyli sobie w oczy.

- Zachowujesz się nierozsądnie.

Ginny odwróciła wzrok. Wiedziała, że postępuje głupio, ale nic na to nie mogła poradzić. Tłumione miesiącami uczucia ogarnęły ją na nowo. Mur, którym się od nich odgradziła, rozsypał się jak zamek z piasku.

Bret wzruszył ramionami i dorzucił drewno do pieca. Wziął z rąk Ginny lampę naftową, podszedł do pryczy.

- Zgaszę ją, jak już znajdziesz się bezpiecznie w łóżku.

- Świetnie - odparła oceniając wysokość, na którą miała skoczyć.

- Jesteś pewna, że dasz radę? - spytał z powątpiewaniem Bret.

Położył się na dolnym łóżku, lampę postawił obok na podłodze. Poprawił poduszkę, założył ręce pod głowę i przyglądał się poczynaniom Ginny.

- Oczywiście. To nic trudnego. W szkole uprawiałam gimnastykę. Prostsze od salta. Muszę tylko wziąć rozbieg - podciągnęła spodnie i podwinęła nogawki, żeby się w nie nie zaplątać.

- Może jednak cię podsadzę?

- Nie! Dam sobie radę.

- W takim razie do dzieła!

Oczy Ginny rozbłysły gniewnie, cofnęła się parę kroków. Potem wyrzuciwszy lekko ramiona do przodu pobiegła w stronę pryczy. Skoczyła. Złapała się oburącz



za górne oparcie i podciągnęła w powietrzu, kierując ciało na środek łóżka. Wylądowała z uczuciem triumfu i... w tym samym momencie spróchniałe deski załamały się pod nią i Ginny spadła na dół.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

- Ratunku! - wrzasnął Bret, gdy deski, materac i Ginny zwały się na niego. Pod wpływem obciążenia załamała się również jego prycza i wszystko wylądowało na podłodze.

Oszołomiona Ginny wpatrywała się zdumionym wzrokiem w sufit, usiłując złapać oddech. Gdy po paru sekundach dotarły do niej zduszone dźwięki, zorientowała się, że wypadek przydarzył się nie tylko jej.

- Bret! - wykrztusiła, gramoląc się ze szczątek łóżka. Pospiesznie odrzuciła na bok materac. - Bret, nic ci się nie stało? Powiedz mi, że nic ci nie jest!

Bret leżał uwięziony w połamanych deskach. Był w szoku, ale Ginny nie spostrzegła żadnej rany. Podczołgała się bliżej. Ani śladu krwi. Mógł jednak doznać wewnętrznych obrażeń.

Spojrzał na nią i powoli pokręcił głową. Otworzył usta, ale nie był w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

Ginny zaczęła wyciągać deski, odrzucając je za siebie.

- Tak mi przykro - piszczała uwalniając Breta. - Nie przypuszczałam, że to się tak skończy... Nie sądziłam... Te prycze wyglądały tak solidnie... Nic ci nie jest? Czemu nic nie mówisz?

- Mam mówić? - jęknął wreszcie Bret, masując pierś i brzuch. - Ledwo zipię!

- O Boże! Chyba cię jednak uszkodziłam - rozejrzała się po chatce w poszukiwaniu pomocy. - Tu nie ma nawet telefonu. Czemu ten głupi właściciel go nie zainstalował?

- Widocznie nie przypuszczał, że ktoś się tu włamie i przerobi łóżko na

trampolinę - wyjaśnił spokojnie Bret usiłując usiąść.

Ginny nie słuchała go.

- Nie możemy wezwać pogotowia. Dlaczego zatrzasnęłam kluczyki w samochodzie? Jak mogłam być aż taką idiotką?

Bret jęknął i dotknął jej ręki.

- Może byś się tak uspokoiła kochanie i pomogła mi się stąd wydostać?

- No jasne! Zabieram się do roboty. - Niektóre deski, przybite do pryczy, zwisały połamane tuż nad jej głową. Odepchnęła je na bok, robiąc przejście dla Breta. Gdy już zdołała przysunąć się do niego wystarczająco blisko, wzięła go pod pachy.

Z pomocą Ginny Bret złapał równowagę i powoli wygramolił się spod łóżka.

- Dziękujemy Bogu, że podłoga wytrzymała - wystękał prostując się ostrożnie. Potem usiadł na podłodze obok Ginny. - W przeciwnym razie musielibyśmy przeczekać noc pod wiatą.

- To sprawka termitów - powiedziała Ginny.

- Czułam, że ta prycza wygląda niepewnie.

- To czemu uparłaś się, żeby na nią wskakiwać?

- Bret spojrział na nią ze zdziwieniem.

- Zapomniałam - odparła zadziornie, ale z oczu wyglądało jej przygnębienie.

Delikatnie położyła dłoń na ramieniu Breta. - Naprawdę nic ci nie jest? Może jednak obejrzę twoje plecy?

Uklękła. Bret odwrócił się ostrożnie. Ginny podciągnęła mu bluzę szukając obrażeń. Oprócz paru zadrapań z prawej strony, powstałych od uderzeń o deski, gdy Bret uniósł rękę chroniąc głowę, plecy były całe. Ginny, nie mogąc się powstrzymać, nachyliła się i pocałowała go w to miejsce.

Bret drgnął i gwałtownie wciągnął powietrze.

- Ginny...

- Przepraszam, Bret! Nie wiedziałam, że... - pospiesznie opuściła bluzę.

- Nic nie szkodzi. Mam jeszcze parę obolałych miejsc do całowania, ale nie wydaje mi się, żebyś była do tego skłonna - powiedział oglądając się.

- Nie jestem skłonna? - spytała odwracając wzrok.

Oczywiście, że nie. Nie była przygotowana na taką poufałość. Nie wiedziała, co robić. Przed chwilą zachowywała się wyniośle, potem wyjątkowo bezmyślnie i proszę - co z tego wynikło?

- W żadnym razie. Powiedzmy szczerze, to fatalnie, że nie mieliśmy dzieci. Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek będę mógł zostać ojcem.

Sens jego słów dotarł do Ginny po paru chwilach. Zaczerwieniła się.

Bret z lekkim uśmiechem odwrócił się i wskazał na lampę naftową.

- Całe szczęście, że się nie stłukła. W przeciwnym razie już byśmy płonęli - znacząco uniósł brew. - Może powinienem wstąpić do ochotniczej straży pożarnej miasta Webster. Mając z tobą bez przerwy do czynienia, warto poznać techniki ratunkowe.

Ginny spojrzała na niego z obrażoną miną.

- Wiem, że to wszystko moja wina. Nie musisz mi tego wytykać.

Bret złagodniał. Wzruszył ramionami i jęknął z bólu, a Ginny znów poczuła wyrzuty sumienia.

- Połóżmy materace przy piecyku. Od tego powinniśmy zacząć już przedtem.

- Ja to zrobię - Ginny zerwała się na nogi i przeciągnęła materace po podłodze. Ułożyła je w pewnym odstępnie obok siebie, potem wróciła po koce i poduszki.

Bret stanął na chwiejnych nogach. Popatrzył na posłania i powiedział kwaśno:

- Nie pozwolę ci oddalić się nawet o krok. Boję się, że jeśli będziesz chciała w nocy dorzucić dREW do pieca, osmalisz mi włosy.

- Chwileczkę... - Ginny złapała się za głowę.

- Daruj sobie - Bret niezgrabnie ukląkł i ułożył materace jeden na drugim. - Będziemy spali razem. Jest dostatecznie szeroko, by było nam wygodnie, nie

mówiąc już o cieple.

Ginny zdawała sobie sprawę, że opór nie ma sensu, starała się jednak odwlec nieuniknione.

- Może zrobiłabym ci zimny okład na żebra, albo...

- Nie, Ginny. Nie trzeba. Chodźmy już spać. - Położył się i poczekał, aż okryje go kocem.

Gdy z ociąganiem kładła się obok, Bret uchylił rąbek koca.

- Może nie w ten sposób spaliśmy ze sobą po raz pierwszy - powiedział - ale wierz mi, tym razem będzie zupełnie inaczej.

No pewnie! Z trudnością przychodziło jej bliskie obcowanie z Bretem, a wspólne spanie - nawet platoniczne - powinno wydawać się Ginny czymś przerażającym. Przypomniła sobie te osiem miesięcy, gdy po przebudzeniu sięgała ręką, by sprawdzić, czy Bret leży obok. Teraz przynajmniej mogła mieć pewność. Popatrzyła, mu w oczy, lecz nie umiała ukryć tęsknoty.

- Ginny... - poderwał się Bret.

- W porządku - odparła klękając na materacu.

- Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

Bret wahał się przez moment, potem przechylił się na bok, czekając aż Ginny położy się tyłem do niego. Objął ją. Ginny wtuliła się w ciepłe ramię Breta. Nie był to może najlepszy pomysł z jej strony, ale odrzuciła wszelkie lęki i zahamowania. Coś błądziło po jej włosach, pewnie jego usta. Przywarła ciaśniej do Breta i rozluźniła napięte mięśnie. Po raz pierwszy od ośmiu miesięcy czuła się bezpiecznie.

Bret wstał i zgasił lampę. Pokoik oświetlał jedynie delikatny blask piecyka. Ginny już usypiała, gdy Bret odezwał się ponownie:

- Wiesz, w jednym muszę ci przyznać rację.

- Tak? W czym? - mruknęła na wpół śpiąca.

- Pobraliśmy się zbyt szybko. Powinniśmy się najpierw lepiej poznać. Nie

można cofnąć czasu, ale wszystko jest jeszcze do nadrobienia.

Ginny rozbudziła się zupełnie. Odwróciła głowę usiłując wyczytać coś z wyrazu pogrążonej w półmroku twarzy Breta.

- Jak to?

- To proste. Zaczniemy się ze sobą umawiać na randki.

- Randki? - Carrie aż gwizdnęła w słuchawkę ze zdziwienia. - Wydawało mi się, że chciałaś trzymać go na dystans. Tak przynajmniej mówiłaś, gdy ostatni raz byłam w domu.

- Przez ten czas wiele rzeczy się zmieniło. A w ogóle to jego pomysł. Nie powiedziałam jeszcze, że się zgadzam - Ginny szciotkowała włosy, rozmawiając z siostrą.

Wzięła prysznic, wysuszyła głowę, włożyła czarne, obcisłe spodnie i zwiewną białą bluzkę. Czowała się zmęczona tą dziwną i podniecającą przygodą. Zatelefonowała do siostry nie tylko po to, by zdać jej sprawę z wizyty u ojca, po prostu chciała usłyszeć znajomy głos.

Rano dotarcie do telefonu, skąd Bret i Ginny mogli wezwać na pomoc ślusarza, zajęło im godzinę. Gdy już samochód został otwarty, a wąż chłodnicy wymieniony, powrót do domu stał się błahostką. Na szczęście właściciel wynajętego przez Hugh'a domku znał gospodarza chatki, gdzie nocowali. Zadzwonili do niego i opowiedzieli o wszystkim. Oświadczyli, że zapłacą za szkody. Wahał się. Mieli jednak nadzieję, że nie wniesie przeciwko nim oskarżenia. Ginny, pochłonięta analizowaniem uczuć, jakie żywiła do Breta, nie przejmowała się tym specjalnie.

- Nie słyszę, żebyś była bardzo przeciwna - zauważyła Carrie. - Czy tego właśnie chcesz?

- Tym razem chcę się upewnić, że podejmuję właściwą decyzję - odpowiedziała zgodnie z prawdą Ginny.

- Pamiętasz, jak jesienią rozmawialiśmy o moim wyjeździe do college'u?

- Oczywiście.

- Poradziłaś mi wtedy, żebym zebrała jak najwięcej wiadomości o chłopaku, który mnie zainteresuje.

- No i co? - Ginny okręciła sobie przewód od słuchawki wokół palca.

Carrie zrobiła teatralną pauzę w rozmowie.

- A więc dowiedziałam się prawie wszystkiego o Brezie. Jezu, Ginny, jeśli on się dla ciebie nie nadaje to... Zresztą, czy muszę ci wszystko tłumaczyć?

Ginny roześmiała się i odłożyła słuchawkę. Teraz należało rozpatrzyć wszystkie za i przeciw, a potem podjąć stosowną decyzję.

Usiadła na łóżku, ale po chwili zerwała się na równe nogi i podeszła do okna. Słońce wysuszyło resztki kałuż. Przyszła jej chętka na zgrabienie strąconych ulewą liści. Hugh zatrudnił do tej pracy Jimmy'ego Blainesa, ale czuła, że jeżeli nie zajmie się czymś, oszaleje. Poza tym chmury znów nadciągały grożąc kolejnym deszczem. Liśćmi należało zająć się natychmiast.

Narzuciła kurtkę, wybiegła szukać grabi i worka na śmieci. Podczas usuwania liści zastanawiała się nad wydarzeniami ostatnich tygodni. Początkowo była wściekła, gdy Hugh zdjął ją ze stanowiska redaktora naczelnego. W sumie wyszło jej to na dobre. Bret sprawował się wspaniale jako naczelny, a jej pozostała sama przyjemność pisania artykułów.

Kolejnym powodem zmartwienia stała się przyznana Bretowi nagroda MacKellara. Mimo jej obaw Bret wcale nie przyjął żadnej z ofert pracy w wielkim mieście, za to z coraz większym rozmachem reorganizował „Heralda”. Wstąpił do wielu miejscowych organizacji, stając się z miejsca niezastąpionym człowiekiem.

Zastanawiała się również, czy powinna pochlebiać sobie sądząc, że Bret wrócił do Webster tylko po to, by zabrać ją z powrotem do Memphis. Jaki mężczyzna chciałby ponownie związać się z kobietą, która zostawiła go rannego w szpitalu i uciekła do ojca? Z pewnością nie zawahałby się okazać wzgardy za jej

tchórzostwo. Teraz jednak nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć.

A co najgorsze Bretowi udało się do niej zbliżyć i znów odgrywał w jej życiu ważną rolę. Ofiarował jej przy tym coś, czego zabrakło w trakcie ich małżeństwa - kurtuazję i szacunek. W pracy traktował serio jej propozycje. Kiedy rozmawiali, słuchał jej uważnie. Gdy ją całował...

Pogrążona w myślach nie słyszała zbliżających się kroków. Na dźwięk głosu Breta podskoczyła z przerażenia. Bret również się wykapał i przebrał. Miał na sobie czyste sztruksowe spodnie i sweter w brązowożółtych odcieniach. Lotnicza skórzana kurtka nadawała mu groźny wygląd.

- Dzień dobry, panienko.

- Panienko? - roześmiała się Ginny, ale spoważniała na widok dziwnego spojrzenia Breta.

Patrzył na nią jak na nieznajomą. Dreszcz przebiegł jej po plecach.

- Nazywam się Bret Calhoun. Zauważyłem, że panienka tu sprząta - wyjął jej grabie z rąk. - Służę pomocą.

- Bret - zamrugła Ginny - czy te deski nie rąbnęły cię za mocno w głowę?

- Wszystko sobie ułożyłem - zjeżył się Bret. - Nie popsuj mi tego teraz. Mieliśmy przecież zacząć od początku, prawda?

- Prawda - zgodziła się z wahaniem.

- Najlepiej będzie, jeśli się sobie przedstawimy - ciągnął, odgrywając rolę nieznajomego. - Jak panience na imię?

- To śmieszne.

- Rozwesel mnie - dotknął potłuczonego prawego boku. - Jestem obolały. A zatem, jak się nazywasz?

- Ginny McCoy - odparła wiedząc, że to ona go tak urządziła.

- Najprawdziwsza McCoy - uśmiechnął się lekko Bret. - Nareszcie cię odnalazłem.

Na wspomnienie dnia ślubu Laury i Sama, Ginny zadrżała. Bret powiedział

jej wtedy dokładnie to samo. Również tak samo patrzył na nią teraz.

- Och, Bret! Nie wiem, czy to jest najlepszy pomysł.

- A masz lepszy?

- Raczej nie.

- Więc zacznijmy wszystko od początku.

- Dokąd nas to zaprowadzi?

Bret zrobił minę niewiniątka.

- Dokąd tylko zechcesz.

Ginny przycisnęła obie dłonie do żołądka i odwróciła się. Gdy znów spojrzała na Breta, oczy miała pełne smutku.

- Chcę znać prawdę. Dlaczego wróciłeś do Webster? Czy naprawdę zamierzasz tu pozostać? Przed człowiekiem z nagrodą MacKellara w kieszeni całe Południe stoi otworem, ba, cały kraj.

Bret zwlekał chwilę z odpowiedzią. Popatrzył na trawnik, na zwiędłe liście oświetlone promieniami zachodzącego słońca. Wiatr rozwał mu włosy. Poprawił je machinalnie. Gdy wreszcie odezwał się, jego głos brzmiał obco.

- Czy mówiłem ci kiedykolwiek, dlaczego zostałem dziennikarzem?

- Nie, nigdy.

Bret uśmiechnął się smutno.

- Dziennikarstwo wydawało mi się ostatnią szansą uczciwego człowieka na poprawianie świata.

- I już tak nie uważasz?

- Chyba zacząłem sobie zdawać sprawę, że nie o to w tym wszystkim chodzi. Nie robiłem tego z pobudek altruistycznych ani z chęci zaspokojenia ciekawości. To była rywalizacja połączona z egoizmem. Szedłem w zawody z moimi starymi tekstami, informatorami, kolegami, jak pies gryzący się z innymi o kość.

Ginny skrzywiła się, słysząc to porównanie. Nigdy nie myślała o Brecie w ten sposób, chociaż zdawała sobie sprawę, że bywał bardzo zawzięty.



- Ładny obrazek, co? Tak się zapamiętałem, że straciłem z oczu najważniejszą rzecz w moim życiu.

Spojrzenie Breta wyjaśniało, że chodzi o Ginny. Była mu jednak wdzięczna, że nie wymienił jej imienia. Czułaby się wtedy zobowiązana. Na razie wystarczyło jej to, co usłyszała. Otrzymała odpowiedź na wszystkie pytania. A w dodatku sama nie udzieliła mu jeszcze żadnych wyjaśnień.

Od chwili pojawienia się Breta usiłowała sprawdzić, czy jest w stanie zabezpieczyć sobie spokojną przyszłość. Śmierć matki, krótki lecz intensywny okres alkoholizmu Hugh'a, opieka nad Carrie i odłożenie na przyszłość własnej kariery - nauczyło ją, że życie rzadko bywa ustabilizowane i bezpieczne.

Chciała mieć gwarancję, że wszystko wreszcie się ułoży, że Bret pozostanie w Webster na zawsze, że nigdy już nie będzie sama. Może po prostu powinna uspokoić się i pozwolić sprawom iść swoim torem, bo przecież nikt nie jest w stanie przewidzieć wszystkiego do końca.

Bret wyczytał z jej twarzy wahanie. Uśmiechnął się współczująco i położył jej dłoń na ramieniu. To przypomniało Ginny noc spędzoną w obskurnej chatce.

- No więc jak? Czy mogę zaoferować swoją pomoc?

- Oczywiście - rozpromieniła się i wskazała na ciemniejące niebo. - Lepiej się pośpiesz. Zaraz znów zaczną padać.

Bret skinął głową i zabrał się do pracy. Ginny przytrzymała wielką plastikową torbę, do której wrzucał liście. Gdy skończyli, zaprosił ją na obiad. Zgodziła się z radością i pojechali do małej knajpki, gdzie podawano najlepsze barbecue w całym hrabstwie. Zjedli również mnóstwo pysznych kruchych żeberek i w drodze powrotnej oskarżali się nawzajem o obżarstwo. Wracając wypożyczyli kasetę i przytuleni na kanapie w salonie obejrzelili film. Kiedy Bret poszedł wreszcie do siebie, Ginny była zbyt zmęczona by pamiętać o ojcu.

Tak spędzili cały tydzień. W pracy Ginny nie zawsze zgadzała się z Bretem i często krytykowała jego posunięcia, robiła to jednak taktownie.

Potłuczone żebra Breta zagoiły się, a właściciel chatki zadzwonił informując go, że zamierza ją rozebrać. Doszedł do wniosku, że nie spełnia wymogów bezpieczeństwa. Ginny dała się ponieść błogiemu upojeniu, nie martwiąc się wreszcie o to, czy Bret naprawdę zamierza pozostać w Webster. Postanowiła chwycić życie na gorąco.

Po pracy Bret zajmował się wyłącznie nią. Było to wspaniałe a zarazem uświadomiło Ginny, jak mało uwagi poświęcał jej w czasie małżeństwa.

Droczył się z nią, wyśmiewając zwyczaj wkładania kciuka do ust. Odgrażał się, że kupi jej smoczek. Żartował, że pod nazwiskiem McCoy kryje się widocznie stary, skąpy Szkot, bo Ginny nie chce lekkomyślnie wydawać pieniędzy na jedzenie.

W piątek Bret zabrał ją do Sama i Laury. Zaprosili go na obiad pod warunkiem, że pomoże bratu wytapetować dziecięcy pokój. Ginny ucieszyła się.

Znów zanosilo się na deszcz, prześladowający Webster od tygodnia, a temperatura szybko zbliżała się do zera grożąc gołoledzią. Ciemne chmury pokryły już całe niebo, gdy skręcili w drogę, wiodącą do wielkiego domu zbudowanego w stylu wiktoriańskim.

- Zawsze lubiłam to miejsce - westchnęła Ginny, widząc oświetlony z okazji ich przybycia podjazd. - Kiedy byłam małą dziewczynką, mama stroiła mnie w niedzielę, wkładała mi czarne lakierki i zabierała na herbatkę do panny McCord, ciotecznej babki Laury. Panna McCord opowiadała mi wtedy o Laurze. To zabawne, ale dzięki niej znałam Laurę zanim ją jeszcze spotkałam.

Bret zachichotał i wysiadł z samochodu, by otworzyć drzwi Ginny.

- To zupełnie jak Sam. Panna McCord najpierw zamęczała go opowieściami o Laurze, potem zrobiła wykonawcą testamentu, na mocy którego Laura odziedziczyła cały majątek. Cioteczna babka połączyła ich w bardzo dziwny sposób.

- Ale chyba nie mają nic przeciwko temu - zauważyła Ginny zastanawiając

się, czy ich małżeństwo ułożyłoby się inaczej, gdyby przed ślubem wiedziała więcej o Brezie. Przez chwilę zazdrościła Laurze szczęśliwego życia - domu pełnego kotów, Sama tresującego rasowe pointery, a przede wszystkim oczekiwanego dziecka. Kiedy jednak w drzwiach stanęła uśmiechnięta Laura, Ginny cieszyła się, że jest jej przyjaciółką.

Jeśli nawet Sam i Laura zdziwili się obecnością Ginny, zdołali to zrećźnie ukryć. Sprawiali wrażenie zachwyconych. Bret i Sam poszli przygotować przybory do tapetowania, a Laura zaprowadziła Ginny do dziecięcego pokoju. Po drodze pochwaliła się przyjaciółce zmianami i ulepszeniami, jakie przeprowadzili w domu przez półtora roku.

Przed ślubem Sam mieszkał naprzeciwko i za domem trzymał zagrodę dla psów. Potem przerobił stary dom na biuro i wprowadził się do Laury. Psy pozostały w zagrodzie, a koty królowały w dobudowanej za kuchnią oranżerii.

Laura zatrzymała się w połowie schodów dla złapania tchu. Widząc przerażenie w oczach Ginny zaśmiała się.

- Ciągle za dużo gadam. Jeżeli dziecko nie przyjdzie wreszcie na świat, zamęcę się na tych schodach. Na szczęście Sam urządził dodatkową łazienkę obok kuchni.

- Czy jesteś pewna, że wolno ci chodzić po schodach? - spytała Ginny, widząc mozolną wędrówkę Laury.

- Dooo...skonale ćwiczenie - wysapała Laura.

Gdy znalazły się na miejscu, Ginny zapomniała o swoich obawach.

- Tu jest cudownie - powiedziała z nie skrywaną zazdrością. Pokój został wymalowany na brzoskwiowo i ozdobiony motywami karuzeli. Rolka tapety wybranej przez Laurę leżała rozciągnięta na stole do przewijania niemowlęcia.

Laura przesunęła dłonią po wydatnym brzuchu.

- Może trochę przesadzamy - wyznała - ale to nasze pierwsze dziecko.

Ginny podeszła bliżej i uściskała ją.

- Masz do tego pełne prawo - pochyliła głowę, by ukryć kręcące się w oczach łzy. Kiedy weszli panowie, znów wyglądała promiennie.

- Myślałem, że odnowiliśmy już wszystko - jęknął Sam. Dźwigał naręcze tubek z klejem, pędzli i wałków do tapet. - Przerobiliśmy ten dom od dołu do góry.

- Nie narzekaj - Laura wspięła się na palce i dała mu buziaka. - Zobaczyłam tę tapetę i wiedziałam od razu, że muszę ją mieć w pokoju dziecięcym. Chyba chcesz, żeby nasze maleństwo miało wszystko w najlepszym gatunku? - zamrugła błagalnie oczami.

- Daj kurze grzędę - zachichotał Sam. - Dalej, Bret. Bierzmy się do roboty. Znosi się na deszcz, a nie chciałbym, żeby tapety odpadły od nadmiaru wilgoci - pocałował żonę i wziął się do pracy.

Bret zwlekał. Ginny czuła na sobie jego wzrok, gdy ponownie lustrowała wzrokiem pokoi. Uniósł kącik ust dając do zrozumienia, że wie, o czym ona myśli. Połączyła ich niewidzialna nić zrozumienia i ciepła.

Laura, pragnąc przerwać tę scenę zwróciła się do Ginny.

- Zejdźmy na dół. Pomożesz mi przygotować obiad. Z doświadczenia wiem, że mężczyźni po pracy bywają głodni jak wilki.

Ginny posłusznie poszła za nią rozmyślając, że byłaby szczęśliwsza, gdyby nie rozpamiętywała tego, co zaszło między nią a Bretem.

W kuchni Laura mieszała w garnku aromatycznie pachnącą zupę, a Ginny nakrywała do stołu. Obejrzała się w momencie, gdy Laura wspięła się na palce, by zdjąć wazę z górnej półki. Jęknęła i pochyliła się, opierając czoło o drzwi wiszącej szafki.

Ginny podbiegła do niej.

- Nic ci nie jest? - spytała, sadowiąc Laurę w głębokim dębowym krześle.

- To tylko skurcz - upierała się Laura. - Nic wielkiego. Jeszcze czas.

- Usiądź i odpocznij. Dokończę sama - Ginny podsunęła Laurze drugie krzesło pod nogi.

- Może rzeczywiście powinnam odpocząć. Za dwa tygodnie nie będę już w stanie sama się obsłużyć. - Laura wyciągnęła się na krześle, splatając ręce na brzuchu.

Ginny bez słowa wyjęła świeży chleb z folii, położyła go na blacie obok piecyka i zaczęła smarować masłem.

- Jak układa się między tobą a Bretem? - Laura widząc zdumienie Ginny roześmiała się. - Sam i ja byliśmy bardzo zdziwieni.

- Nie wiem, o co ci chodzi - odparła Ginny.

- Sam twierdzi, że Bret jest najbardziej upartym i energicznym Calhounem w rodzinie. Możesz mi wierzyć, że chociaż posądzałam o to Sama, Bret może okazać się jeszcze gorszy. Chce, żebyś do niego wróciła, prawda?

- Na to wygląda - Ginny starannie położyła nóż do chleba na tacce i postawiła wszystko na stole.

- A czego ty chcesz?

To spokojnie zadane pytanie zabrzmiało w uszach Ginny jak dzwon. W uroczej kuchni tego szczęśliwego domu nie mogła dłużej ukrywać prawdy.

- Nie chcę skrzywdzić Breta ani samej dać się zranić.

- Zeszłej zimy Bret okropnie cierpiał. Przyjechał tu pewnego dnia i przegadał z Samem całą noc.

Ginny spojrzała na swoje dłonie wsparte o blat stołu. Czuła się jak morderczyni.

- Wiesz, wszystko da się naprawić - ciągnęła Laura - pod warunkiem, że tego chcesz.

- To nie jest takie łatwe - odparła Ginny tłumiąc łzy.

Laura poczekała, aż przyjaciółka się uspokoi i powiedziała pogodnie:

- Czy wiedziałaś, że Bret oświadczył mi się w chwilę po tym, jak mnie poznał?

- Nie.

- Oczywiście tylko żartował. Drażnił się z Samem. Nie zdziwił mnie jednak wasz szybki ślub. Bret zawsze wie dobrze, czego chce.

Pragnął Ginny. Po przygodach, jakie spotkały ich w ubiegłym tygodniu, i rozmowie przeprowadzonej następnego dnia przestała się martwić o to, co przyniesie przyszłość. Nadal jednak nie chciała niczyjej krzywdy.

Kiedy obiad był już gotów, Ginny poszła na górę. Bret i Sam kładli właśnie ostatnią rolkę tapety. Pogratiowała im szybkości.

Stęskniony za żoną Sam umył ręce i popędził na dół. Bret zatrzymał się na szczycie schodów, przyciągnął Ginny do siebie i pocałował ją.

Ginny przywarła do niego rozkoszując się ciepłem Breta i słodyczą jego warg. W oczach zalśniły jej łzy. Nie zdawała sobie z nich sprawy, dopóki Bret ich nie osuszył.

- O czym myślałaś? - spytał, pocierając nosem o jej policzek.

- Byłam trochę zazdrosna.

- Z powodu dziecka?

- Częściowo tak - zarumieniła się. - Ale głównie na widok ich wspólnego szczęścia.

- Kiedy się poznali, napotykali na same trudności. Jednak udało im się je pokonać - podkreślił Bret. - Są małżeństwem już od półtora roku.

- Tylko o dwa tygodnie dłużej niż my, gdybym...

- Gdybyś nie popełniła błędu, rozwodząc się ze mną - dokończył.

Ginny spojrzała na niego nieco przestraszona tym oskarżeniem, ale Bret uśmiechnął się tylko.

- Wszystko jest do naprawienia - dodał powtarzając myśl Laury. - Możemy spróbować dziś w nocy.

- Przestań - przytuliła się do niego, kryjąc zawstydzoną twarz.

W wesołym nastroju zasiedli do obiadu. Gdy już kończyli jeść, zawyła syrena straży pożarnej. Jednocześnie w domu Sama zadzwonił telefon. Nikt nie

pofatygował się, by go odebrać. Laura zerwała się na nogi i pobiegła po kurtkę męża, a Sam zaczął szukać w salonie kluczyków do samochodu. Jako członek ochotniczej straży pożarnej miał obowiązek stawić się na każde wezwanie.

Ginny zobaczyła ze dziwieniem, że Bret również wstaje. Okrążył stół i pocałował ją w policzek.

- Jadę z Samem. Wpadnę po ciebie później. Lauro - zwrócił się do bratowej - czy pożyczysz mi jakiś aparat fotograficzny? Zwykle wożę swój w samochodzie, ale dziś zostawiłem go w redakcji. Może zrobię parę zdjęć do gazety.

Ginny powoli podniosła się od stołu. W ułamku sekundy zrozumiała, że Bret nie zmienił się ani na jotę. Nadal gotów był ryzykować życie dla zdobycia ciekawych materiałów do gazety. Odłożyła zmiętą serwetkę i podeszła do niego.

Sam pocałował Laurę i wybiegł. Bret sprawdzał aparat fotograficzny.

- Nie jedź - powiedziała przerażonym głosem.

- Mam nie jechać? Dlaczego? - zdziwił się.

- Bo to jest niebezpieczne - mógłbyś nawet stracić życie, dodała w myślach.

- Sam przecież pojechał - spojrzał na Laurę, szukając u niej wsparcia, ale ta jedynie wzruszyła ramionami i wyszła z pokoju.

- Sam jest wyszkolonym strażakiem - rzekła Ginny.

Jeśli Bret wyjdzie teraz, wszystko, co jej mówił, straci sens. Może nawet chce, żeby do niego wróciła, ale nie zmienił się. Wciąż goni za sensacją, co omal go nie zabiło.

- Dam sobie radę.

- Tak jak wtedy z handlarzami narkotyków?

- Ginny, to nie to samo.

- Skąd możesz wiedzieć?

Zarzucił sobie aparat na ramię.

- Porozmawiamy po moim powrocie.

- Już mnie tu nie będzie - odpowiedziała Ginny.

Bret spojrział na nią z wściekłością.

- Mogłem się tego spodziewać - wyszedł i trzasnął drzwiami.

Oszołomiona Ginny oparła się o ścianę. Nic się nie zmieniło. Nagłe wyjście Breta zabolalo ją równie mocno jak dawniej, ponieważ wciąż kochała go tak samo jak wtedy.

Postanawiając wrócić do domu pieszo, pomimo padającego deszczu, Ginny przeszła do kuchni po torebkę. Poblada Laura stała przy zlewie. Była przerażona.

Ginny zapomniała natychmiast o swoich kłopotach.

- Laura, co się stało?

- Musimy jechać do szpitala. Chyba zaczynam rodzić.

RS



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Kiedy się zorientowałaś?

- Jakieś pięć minut temu. Cały dzień dziwnie się czułam, ale nie zdawałam sobie sprawy, że to już. Następnym razem będę mądrzejsza.

Ginny w pierwszej chwili zaniemówiła.

- Myślisz już o następnym razie? Jesteś najodważniejszą kobietą, jaką znam.

Laura roześmiała się. Jęknęła.

- Nic się nie przejmuj. Zajmę się wszystkim - śmiało powiedziane jak na kogoś, pod kim trzęsą się nogi, pomyślała Ginny. - Twoim lekarzem jest John Clay, prawda?

Laura skinęła głową i Ginny wykręciła znajomy numer. Potem zatelefonowała do szpitala, a następnie do straży pożarnej, prosząc o powiadomienie Sama i Breta.

Odłożyła słuchawkę, podała Laurze płaszcz i wzięła przygotowaną zawczasu walizkę. Przeklinała w myślach obu Calhounów za to, że akurat wyszli. Tak naprawdę to była wściekła jedynie na Breta. Nie zostawił jej samochodu.

Ginny pomogła zejść Laurze po mokrych schodach i wsiąść do pontiaca thunderbirda Sama. Potem pobiegła zgasić światła w domu. Kiedy usiadła za kierownicą, przeraziła się ogromną ilością świecących wskaźników.

- Niesamowite - mruknęła - dyskoteka na kółkach.

- Nie rozśmieszaj mnie - jęknęła Laura.

- Nigdy przedtem nie prowadziłam czegoś takiego.

Bóle ustąpiły na chwilę i Laura złapała oddech.

Uśmiechnęła się lekko.

- To samochód taki sam jak wszystkie inne, ma tylko zamontowanych więcej bajerów. Czy słyszałaś o tym, jak mu go rozbiłam?

- Nie - Ginny włączyła silnik szczęśliwa, że Laura ma jeszcze siłę żartować. - Opowiedz mi o tym w stosowniejszym momencie - zerknęła na nią nieśmiało. - W

zeszłym tygodniu zwałałam pryczę Bretowi na głowę.

Laura z namaszczeniem pokiwała głową.

- Odpowiednia kandydatka na żonę dla Calhouna. Wiedziałam, że na ciebie można liczyć - jęknęła.

- Pospieszmy się.

Ginny, nie mając innego wyboru, ruszyła. Zanim dojechały do końca ulicy, deszcz przemieniał się w ulewę. Zrobiło się niebezpiecznie. Ginny, z trudem panując nad zdenerwowaniem, przez wzgląd na Laurę prowadziła w ślimaczym tempie.

W końcu wjechały pod zadaszony wjazd do szpitala. Ginny, trzęsąc się ze zdenerwowania, pobiegła po pielęgniarkę, która spokojnie wzięła najbliższy fotel na kółkach i podążyła do wyjścia.

Wspólnie usadowiły na nim skrecającą się z bólu Laurę.

- To odbywa się szybciej, niż przypuszczałam - wykrztusiła Laura.

- Szczęściara z pani - odparła pielęgniarka. - Moje pierwsze dziecko zwlekało z przyjściem na świat. Temu najwyraźniej się spieszy.

Ginny uścisnęła Laurę i szepnęła jej do ucha, że wszystko będzie dobrze. Pielęgniarka odwiozła ją w głąb szpitala.

Wyczerpana, jak po biegu maratońskim, Ginny opadła na krzesło w poczekalni i naręczem chusteczek wytarła zmoczoną deszczem twarz. Wyjęła szczotkę, doprowadziła się do porządku. Posiedziała chwilę spokojnie, potem zerwała się i zaczęła krążyć po pomieszczeniu. Na stole leżało mnóstwo starych magazynów ilustrowanych, ale nawet nie zwróciła na nie uwagi. Martwiła się o Laurę i o... Breta.

Laura przynajmniej trafiła w fachowe ręce i czekało ją coś, co kobietom zdarza się od zarania dziejów. Ale Bret... Radośnie pognał w stronę niebezpieczeństwa, męskim zwyczajem pozostawiając kochającą go kobietę samą.

Ginny skrzyżowała ręce na brzuchu i usiadła z powrotem na krześle. Prawdę

mówiąc, Bret wcale nie wiedział, że ona go kocha. Swoim postępowaniem starała się temu zaprzeczyć. Przymknęła sobie więcej na niego nie krzyczeć.

Po niespełna godzinie zjawił się Sam, wciąż w stroju strażaka. Ginny wyjaśniła mu, co zaszło i Sam pobiegł do żony. Ani śladu Breta.

Ginny nadal na przemian chodziła po pokoju to znów siadała na krześle. Wydawało się jej wyjątkowo niewygodne.

Minęła kolejna godzina i rozradowany Sam wpadł do poczekalni oznajmiając, że został szczęśliwym ojcem dorodnego chłopaka. Laura czuje się świetnie, a dziecku postanowili dać na imię Travis, po dziadku.

- To cudownie, Sam! Moje gratulacje - podskoczyła w górę Ginny. Oboje tańczyli po pokoju roześmiani i szczęśliwi, że wszystko dobrze się skończyło. Wówczas pojawił się Bret pokryty brudem i sadzą. Gdy Sam powiedział mu o wszystkim, Bret klepnął brata po ramieniu i uścisnęli sobie ręce.

Ginny widząc to uświadomiła sobie, że już nie należy do tej rodziny. Bez słowa wzięła kurtkę i torebkę.

- Powiedziałem pielęgniarce, że ciocia z wujkiem nie wyjdą stąd, dopóki nie zobaczą maleństwa - oświadczył Sam. - Pokaże go wam przez szybę. Nie spodziewajcie się zbyt wiele. Całe jest opatulone - uśmiechnął się z dumą.

Pospieszył z powrotem do żony, a Bret wraz z Ginny przeszli na korytarz. Zgodnie z obietnicą pielęgniarka pokazała im różowiutką buzię noworodka. Ginny zapomniała o tym, że gniewa się na Breta i przywarła do szyby.

Kiedy już się napatrzyli, postanowiła poinformować Sama, że pożycza jego auto i jutro mu je zwróci.

- Urocze, prawda? - spytał idący za nią Bret.

- Maleństwo? Tak - uśmiechnęła się. - Bałam się, że przyjdzie na świat, zanim tu dotrzemy, ale zdążyliśmy. Chyba za bardzo się przejmuję.

- Czy przyznajesz, że czasami niepotrzebnie się zamartwiasz?

Rzuciła mu ostre spojrzenie i poszła szybciej korytarzem. Weszła do pokoju

pielegniarek i zostawiła wiadomość dla Sama. Potem skierowała się do wyjścia. Bret dogonił ją tuż przed oszklonymi drzwiami.

- Ginny, musimy porozmawiać - powiedział, chwytając ją za ramię.

- Już rozmawialiśmy - do tej pory unikała patrzenia mu w twarz.

Teraz zauważyła, że była pokryta sadzą. Deszcz i pot wyżłobiły w niej bruzdy. Ginny zdała sobie sprawę, jak blisko ognia musiał znajdować się Bret.

Z przerażeniem poczuła, że łzy kręcą się jej w oczach.

- Prosiłam cię, żebyś nie jechał do pożaru, a ty mimo wszystko pojechałeś - powiedziała, starając się opanować drżenie głosu.

- Sam musiał pędzić do szpitala i nie było nikogo innego, kto by go zastąpił.

- Nie wiedziałeś o tym, wychodząc z domu - pokazała kciukiem na siebie. - To ja powinnam była opisać pożar. Jestem reporterem. Mogłeś również wysłać tam innego dziennikarza i fotografa - wyrwała rękę z uścisku. - Pojechałeś, bo nie możesz wytrzymać bez ryzyka. Podejrzewałam to przez cały czas, a teraz tylko mnie w tym utwierdziłeś. Webster to nie miejsce dla ciebie. Wracaj do Memphis.

- Tu wcale nie chodzi o mnie, tylko o ciebie. Usiłujesz znaleźć wymówkę, żeby mnie odtrącić. Zanadto się do ciebie zbliżyłem. W tej chatce zadałem ci pytania, na które nie potrafisz odpowiedzieć. Jesteś za mało dojrzała emocjonalnie, by zaufać mi lub choćby własnym uczuciom.

- To idiotyczne. Nie zamierzam wysłuchiwać tych bredni w miejscu publicznym - Ginny wyszła na zewnątrz.

Deszcz smagnął ją w twarz. Z trudem łapiąc oddech, otuliła się szczelniej kurtką. Zatrzęsło ją. Nie wiedziała czy to ziąb, czy nerwy.

Bret nie zamierzał tak łatwo ustąpić.

- Wysłuchasz mnie, nawet gdybym musiał zaciągnąć cię na plac przed ratuszem. Jeszcze nie skończyliśmy, Ginny - wrzasnął jej do ucha. - Jeszcze nie...

- To jest już od dawna skończone - odwróciła się i w lodowatym deszczu pobiegła do auta Sama.

Włożyła kluczyk do stacyjki i uruchomiła silnik. Po paru chwilach dmuchawa napełniła wnętrze samochodu ciepłym powietrzem. Ginny rozejrzała się gotowa do odjazdu.

Bret również siedział już w samochodzie. Zapalił silnik i włączył światła. Wiedziała, że czeka na nią. Ostrożnie wyjechała z parkingu przed małym okręgowym szpitalem.

Zdążyła do domu śliską jezdnią. W lusterku widziała światła samochodu Breta. Pragnęła jedynie znaleźć się bezpiecznie pod kołdrą. Tam mogłaby przemyśleć wydarzenia ostatnich godzin i rozważyć wszystko włącznie ze swą miłością do Breta, który wcale się nie zmienił.

Skoro tylko znajdzie się sama w domu, będzie mogła zastanowić się nad tym i zdecydować, jak powinna postąpić.

Ginny przyjechała przed Bretem i weszła do środka kuchennymi drzwiami. Przekręciła kontakt, lecz światło nie zapaliło się. Po omacku dotarła do lodówki i otworzyła drzwiczki. Ciemno. Awaria w dopływie prądu. Ginny zakląła szpetnie i zamknęła lodówkę.

- Puk, puk - powiedział Bret, wchodząc w ślad za nią. - Przeklinanie na nic się nie zda.

Miał ze sobą latarkę wyjętą ze schowka samochodowego. Korzystali z niej w zeszłym tygodniu. Ginny ogarnęła nostalgia na widok promyka światła omiatającego kuchnię.

- Zobacz - Bret podszedł do okna, skąd widać było jego pokój nad garażem. Na podeście świeciło się światło. - Musi być zasilany oddzielną linią. Może poczekałabyś u mnie do chwili usunięcia awarii?

- Dziękuję, ale nie skorzystam - Ginny sięgnęła do szuflady, w której trzymała latarkę, zapalki i świece. Z własnym źródłem światła w ręku poczuła się rażniej. - Równie dobrze mogę rozpałić w kominku i... przenocować w salonie. Dobranoc.

- Do cholery, Ginny! Kiedy wreszcie przestaniesz być głupią, upartą egoistką?

- Egoistką?

- Owszem. Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że potrzebuję, żebyś mnie wysłuchała? Spokojnie, bez żadnych uprzedzeń? - wziął ją za rękę. - Idziesz ze mną. Przeczekamy tam burzę oboje.

Ginny chciała zaprotestować, ale Bret zakrył jej usta dłonią.

- Nie wysilaj się. Może nie jestem tak wyszkolony jak Sam, ale znam strażacki chwyt ratowniczy. W razie konieczności zarzucę cię na ramię i zaniosę na górę. Idziemy.

Rozsądnie myśląca kobieta, za jaką uważała się Ginny, wiedziałaby kiedy ustąpić. Poszła, pochylając się przed deszczem. Bret zatrzaskał kuchenne drzwi i pospieszył za nią.

Na podeście otworzył drzwi i przepuścił ją przodem. Ogarnęło ich ciepło, bijące z wmontowanych w podłogę grzejników.

Bret włączył światło i uśmiechnął się wesoło do wymalowanych stworków.

- Śmiało - zachęcał ją. - Nie zajmują wiele miejsca. Są dwuwymiarowe.

Ginny weszła głębiej, zdjęła kurtkę i usiadła na krześle.

Bret spojrzał na swoje zabrudzone ubranie.

- Pójdę się umyć. Czy mogłabyś w tym czasie zaparzyć kawę?

Ginny zadowolona, że może się czymś zająć przeszła do kącika kuchennego. Ledwo zdążyła przygotować kawę, gdy z łazienki wyłonił się Bret ubrany w czysty dres. Wziął od niej pełną filiżankę. Kiedy Ginny chciała wrócić na swoje krzesło, wskazał jej kanapę.

- Siadaj.

Usiadła wystraszona i popijając gorący płyn, starała się unikać jego wzroku. Po chwili milczenia Bret odstawił filiżankę na stolik, rozparł się wygodniej na kanapie i przyjrzał uważnie Ginny.

- Od kiedy boisz się, że zginę?

- Co?

- Wreszcie się tego domyśliłem. Odkąd poznaliśmy się, przerażało cię mnóstwo rzeczy. Nie pojmowałem tego, ale teraz wiem, że najbardziej bałaś się, że zginę i tak jak po śmierci matki, zostaniesz sama.

- To największa bzdura, jaką słyszałam w życiu - poprawiła włosy drżącą dłonią.

- Więc spróbuj udowodnić mi, że nie mam racji - powiedział. Kiedy milczała, dodał: - Ginny, spójrz mi w oczy i powiedz, że to nieprawda.

Popatrzyła mu w oczy, ale nie mogła zaprzeczyć. Oboje wiedzieli, że tak właśnie jest. Ginny odstawiła filiżankę na stół i wparła się w kanapę, wkładając dłonie między kolana.

Nabrała tchu i powiedziała z namysłem:

- Myślę, że zaczęłam się bać, od chwili gdy wróciliśmy z podróży poślubnej.

- Jak to? - Bret delikatnie położył jej dłoń na ramieniu, jakby chciał tym gestem dodać jej otuchy.

- Owszem. Byłam bardzo naiwna jak na swój wiek. Wydawało mi się, że wszystko ułoży się samo. Kiedy jednak zobaczyłam, jak wspaniale radzisz sobie w swoim zawodzie, w którym ja dopiero stawiałam pierwsze kroki, poczułam się nie na miejscu. Przystosowanie okazało się trudniejsze, niż sądziłam. Miałam dobre oceny z dziennikarstwa i byłam czwartym pokoleniem ludzi zajmujących się wydawaniem gazet. To nie wystarczało. A najgorsze chwile przeżywałam, kiedy znikaleś, żeby zebrać materiały. Sądziłam, że gdybym była lepszą żoną, wracałbyś na noc do domu.

- Kochanie - rzekł łagodnie Bret - to nie ma nic do rzeczy. Byłem durniem, zostawiając cię samą. Myślałem, że po ślubie będę mógł nadal prowadzić uprzedni styl życia. Wiedziałem, że coś cię gryzie, ale nie wyjaśniłaś mi, co. Omal nie dostałem zawału, kiedy po powrocie ze szpitala zastałem jedynie kartkę informującą mnie, że odchodzisz.

Ginny skuliła się na myśl, jak bardzo skrzywdziła wówczas Breta.

- Stchórzyłam. Umierałam za każdym razem, kiedy wychodziłeś z domu. Byłam pewna, że cię zabiją. Gdy zostałeś ranny, nie mogłam już dłużej wytrzymać. Pamiętałam, co działo się ze mną po śmierci matki.

- Ja również straciłem rodziców - westchnął Bret. - Sądziłem, że to nas zbliży, a tymczasem rozdzieliło. Czemu wówczas nie zostałeś i nie wyjaśniłaś mi wszystkiego?

Ginny zbladła. Tego pytania obawiała się najbardziej.

- Bo nie sprawdziłam się jako żona ani jako dziennikarka. Wróciłam więc do domu zająć się ojcem i siostrą. To jedno umiałam na pewno - urwała, wahając się przez moment. Musiała jednak wszystko dopowiedzieć do końca. - Próbowałam również zapomnieć o mojej miłości do ciebie.

- Z powodzeniem?

Nie umiała kłamać. Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Nie, nigdy nie przestałam cię kochać. To dlatego tak broniłam się przed tobą, kiedy wróciłeś do Webster.

Uśmiech wykwitł powoli na twarzy Breta.

- Pokochałem cię od pierwszego wejrzenia i chyba będę kochał do końca życia.

- Och, Bret - oczy Ginny napełniły się łzami. Objęła go przytulając się mocno. W pocałunku chciała nadrobić miesiące bólu i rozłąki.

- Nigdy nikogo nie zawiodłaś, Ginny - szepnął Bret. - Zawsze radziłaś sobie doskonale, a ja nie starałem się cię zrozumieć - odsunął się nieco od niej. - Dotarło to do mnie dopiero tego wieczoru przed szkołą.

- Jak to? - uśmiechnęła się Ginny zdumiona, że tak długo wzbraniała się powiedzieć mu prawdę.

- Czulaś się winna, że nie potrafisz sobie dać rady. Byłaś przecież dzieckiem, które straciło właśnie matkę. Wydawało ci się, że zawiodłaś zaufanie, jakie pokładał w tobie ojciec.



- Chyba masz rację - skinęła głową. - Nigdy nie pomyślałam o tym w ten sposób.

- Martwiłaś się również, że nie radzisz sobie równie dobrze z wydawaniem „Heralda”, co Hugh. Uznałaś to za kolejną porażkę.

- Owszem - przyznała.

- Wydawanie tygodnika nie jest twoją najmocniejszą stroną. Ale znakomicie wymyśliłaś dział poświęcony szkole, nie wspominając już o współpracy z czytelnikami.

Ginny pławiła się w pochwałach Breta. Jak cudownie mieć kogoś, kto nas rozumie. Ze zdziwieniem pojęła, że tego właśnie spodziewała się po małżeństwie.

Bret położył jej głowę na kolanach. Pocałował ją znów.

- Kocham cię.

Ginny uniosła nieco głowę oddając pocałunek. Po raz pierwszy od roku była spokojna.

- Ja też cię kocham. Teraz rozumiem, dlaczego przyjechałeś do Webster.

- Żeby cię odzyskać. I co teraz zrobimy?

Ginny zerknęła w kąt pokoju. Oczy błyszczały jej zmysłowo.

- Pójdziemy do łóżka?

Bret roześmiał się i oparł głowę na jej czole.

- Dobry Boże, czekałem tak długo, aż to powiesz, ale nie.

- Nie?

- Nie bój się. Mimo rozwodu zawsze uważałem nas za małżeństwo, ale okazało się, że jestem kiepskim mężem. Pozwoliłem ci odejść. Tym razem zrobimy wszystko, jak należy.

- Jak to? - spytała zawiedzionym głosem.

- Weźmiemy ślub kościelny. Hugh nie cierpiał skróconej ceremonii w sądzie.

Teraz Hugh osobiście zaprowadzi cię do ołtarza, Carrie będzie druhną a drużbą mój brat Will.

Ginny przymknęła oczy.

- Tylko mi nie mów, że twój bratanek Travis poda nam obrączki. Musielibyśmy czekać na to przynajmniej pięć lat!

- Ależ skąd - zaśmiał się Bret. - Nawet ja nie mam tyle cierpliwości. Może jednak zostaniesz u mnie na noc? Przytulimy się do siebie jak tam, w chatce.

- Zwariowałeś?

- Wcale nie. To wspaniały pomysł. Nie chcesz chyba zostać sama w pustym domu, co?

- Czy nie za wiele pan wymaga? - spytała Ginny podnosząc się.

- Proszę tylko o zaszczylenie mego łóżka obecnością. Za parę tygodni będę domagał się czegoś więcej. A tak w ogóle, to zdumiewa mnie rumieniąca się bez przerwy rozwódka - pocałował ją i pomógł wstać. - Mogę spać na podłodze, jeśli nie masz do siebie zaufania.

Ginny pokazała mu język, a Bret wyciągnął z szuflady podkoszulek.

- Oto pani pizama - oświadczył.

Oszołomiona Ginny pobiegła do łazienki. Była bardzo szczęśliwa. Spełniły się jej życzenia. Bret wrócił i przekonała się, że ją kocha.

Wzięła prysznic i włożyła podkoszulek. Sięgał jej zaledwie za biodra. Patrząc w lustro zastanawiała się, czy Bret nie złamie postanowienia.

Gdy wyszła, kończył już ścielić sobie łóżko na podłodze. Spojrzał na nią i gwizdnął przeciągle.

- Wiesz, zawsze uważałem, że masz fantastyczne nogi. Gdybyś miała na sobie minispódniczkę w dniu naszego poznania, porwałbym cię natychmiast. Nie drażnij mnie, kobieto, i schowaj się pod kołdrę. To będzie bardzo krótkie narzeczeństwo.

Ginny błyskawicznie wskoczyła do łóżka. Pościel cudownie pachniała męską wodą po goleniu. Bret pochylił się nad nią i pocałował na dobranoc. Zmęczona przeżyciami zasnęła natychmiast.

Rano obudził ją telefon. Odruchowo sięgnęła obok, ale Breta tam nie było.

Pewnie brał prysznic albo gdzieś wyszedł na chwilę. Podniosła słuchawkę.

- Hallo.

- Bret? - spytał męski głos.

- Nie ma go w tej chwili - odparła.

- Założę się, że jednak jest - zaśmiał się rozmówca.

Wszędzie poznałaby ten śmiech. Wskoczyła z łóżka.

- Frank Brevard?

- We własnej osobie, kochanie. Widzę, że Bret zakończył już swą misję. Odzyskał cię. Najwyższy czas, już nie mogę się go doczekać. Mam dla niego zadanie, o jakie mnie prosił. Spodoba mu się. Kiedy mogę się was spodziewać?

RS

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Czy to wszystko było z góry ukartowane? - spytała Ginny, gdy tylko Bret otworzył drzwi. Klęczała na łóżku.

W rękę ścisnął torbę pączków z cukierni Merricka. Spod pachy sterczały mu dwie sobotnie gazety.

Bret zaniepokojony tonem jej głosu i gniewnym błyskiem w oku najpierw złożył zakupy w kąciку kuchennym.

- Co miało być ukartowane?

- Wcale nie zamierzałeś zostać w Webster - odparła z rozgoryczeniem. - Przyjechałeś tylko po to, żeby mnie stąd zabrać. Dlaczego? Aż tak bardzo ucierpiała na tym twoja ambicja?

Bret spokojnie zdjął kurtkę i powiesił ją na oparciu krzesła. Potem zakasał rękawy flanelowej koszuli. Przez cały czas przyglądał się uważnie Ginny.

- Co ci przyszło do głowy? Śniły ci się jakieś koszmary? Wieczorem jeszcze wszystko było w porządku.

- Owszem, śniłam aż do wczoraj - Ginny opuściła nogi na zimną podłogę. - Przed chwilą dzwonił Frank Brevard.

- Tak? I co powiedział? - spytał ostrożnie Bret.

- Że nie może się już nas doczekać i ma dla ciebie nowe zlecenie. Dlaczego nie byłeś ze mną szczerzy?

- Nigdy cię nie okłamałem.

- Ale nie powiedziałeś mi całej prawdy. Nie byłeś nigdy zainteresowany wydawaniem prowincjonalnej gazety. Wiedziałeś o tym, wyjeżdżając z Memphis.

- Przyznaję.

To jedno słowo zmroziło ją. Zgasiło ostatnią iskierkę nadziei, że to nieprawda. Popatrzyła przeciągle na Breta, usiłując wyczytać coś z jego twarzy. Wreszcie odwróciła wzrok.

- Rozumiem.

Bret podszedł do niej i siłą zmusił, by spojrzała mu prosto w twarz.

- Kiedy zgodziłem się pracować dla twojego ojca, byłem wściekły na ciebie. Postanowiłem za wszelką cenę dowiedzieć się, czemu mnie opuściłaś. Nie obchodziła mnie gazeta w tej zapadłej dziurze.

- Skoro już się dowiedziałeś, możesz wracać. Pa - pomachała mu ręką.

Czuła się upokorzona tym, że zmusił ją do wyznania jej najskrytszych lęków, że uwierzyła w jego miłość. Nie okłamuje się ukochanej osoby.

- Jednak zmieniłem zdanie - dobitnie stwierdził Bret. - Potrzebowałem odmiany, ale nie przypuszczałem, że aż takiej. Polubiłem to życie, bliskie sąsiedztwo brata; polubiłem tę pracę i Webster. Wreszcie znalazłem to, czego szukałem.

- Doprawdy? - ironicznie spytała Ginny.

- Tak! - Bret przesunął dłonią po włosach. - Nie wiem, po co usiłuję ci to wyjaśnić. Zawsze wszystko wiesz najlepiej. Pewnie znowu uciekniesz.

Ginny przekonała się już, że ucieczka nie rozwiązuje niczego. Nie wiedziała tylko, jak teraz dojdzie z sobą do ładu.

- Po co, skoro to ty wyjeżdżasz? Wracasz do Memphis, do swojej ukochanej pracy i ludzi, którzy cię podziwiają.

- Czy spytałaś kiedyś ojca, czemu mnie zatrudnił? Jednego z czołowych dziennikarzy w Stanach?

- Bo był na tyle głupi, żeby uwierzyć, że chcesz żyć bliżej rodziny.

- Ty, do cholery, jesteś moją rodziną i Hugh wiedział o tym! Przyjął mnie do pracy, żeby nas pogodzić.

- Nie! - Ginny odsunęła się od Breta. - Wiedział, jak bardzo mnie skrzywdziłeś.

- Hugh jest urodzonym swatem. Zadzwoił do Memphis, powiedział, że przechodzi na emeryturę i zaproponował mi pracę.

- Nie wierzę.

- To prawda. Nawet nie pofatygował się, żeby poszukać kogoś innego.

Pewność siebie przekonała Ginny, że Bret mówi prawdę. Nie mogła jednak uwierzyć w to, że ojciec okazał się takim intrygantem.

- To niemożliwe.

- Możliwe - uśmiechnął się Bret i dodał: - Hugh powiedział, że jeśli cię znów skrzywdzę, rozerwie mnie koźmi. Jednak po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że nie jest z tobą tak źle, skoro słabo oponowałaś przeciwko przyjęciu mnie do pracy.

- Nie rozumiem.

- Gdybyś postawiła sprawę na ostrzu noża, Hugh nigdy by mnie nie zatrudnił - Bret zrobił krok w jej kierunku. - Dlaczego, Ginny? Czy dlatego, że nie chciałaś pokazać, że mnie pragniesz? Cieszysz się z mojego przyjazdu, ale nie potrafisz przyznać się do błędu i prosić mnie, żebym cię przyjął z powrotem?

- Prosić cię? - zdenerwowała się Ginny. - Nigdy w życiu! Przyjechałeś do Webster, żeby mnie odzyskać.

- Czyżbym cię tym obraził? Mogę dostać pracę w dowolnym miejscu, ale wolę zostać właśnie tu. Pozostaje tylko pytanie, czy chcecie tego ty i Hugh.

Ginny odgarnęła włosy z czoła. Popatrzyła z zakłopotaniem na Breta.

- Nie mogę ręczyć za ojca.

- Nie jesteś w stanie ręczyć nawet za siebie - parsknął Bret. - Zastanów się, czemu się tym tak przejęłaś. Przemyślisz to przy pączkach i kawie. A swoją drogą mogłabyś się ubrać. Ciężko dyskutuje się z kobietą odzianą jedynie w podkoszulek.

- Zrobię coś innego. Wrócę do domu i zadzwonię do ojca.

- Jak sobie życzysz - wzruszył ramionami Bret. - Możesz zatelefonować stąd.

Ginny zlekceważyła propozycję. Złapała swoje ubranie i przemknęła do łazienki. Gdy wyszła stamtąd, kawa była gotowa.

- Nie poczęstujesz się? - Bret zaoferował jej pączka.

- Dziękuję, nie - otworzyła drzwi i wyszła.

Bret podążył za nią.

- Masz sporo do rozważenia, co? Najpierw przeanalizuj motywy, którymi kierował się Hugh, potem odpowiedz sama sobie, czemu się na to zgodziłaś. Wreszcie przypomnij sobie swoją reakcję na telefon Franka. Pamiętaj, to on powiedział, że ma dla mnie zadanie. Ja ci tego nie mówiłem. A może po prostu boisz się zaakceptować mnie takiego, jaki jestem? Powtórnego, trwałego małżeństwa? Tym razem nie pozwolę ci odejść.

Ginny rzuciła mu gniewne spojrzenie i poszła. W pewnym sensie Bret miał rację. Musiała wszystko przemyśleć. Przebywała od tygodnia w jego towarzystwie i potrzebowała samotności.

W ciągu nocy naprawiono awarię i w domu było ciepło. Ginny podeszła do telefonu, ale zawahała się w ostatniej chwili. Taką rozmowę trzeba przeprowadzić osobiście. Przebrała się w świeże dżinsy, różowy sweter i poszła do samochodu. Odjeżdżając zobaczyła Breta stojącego na podeście.

Po godzinie dotarła do drogi, prowadzącej do chatki Hugh'a. Tygodniowe deszcze zamieniły ją w grzęzawisko, utrudniając przejazd. Kiedy mijala miejsce, gdzie spędzili noc z Bretem, nie spojrzała nawet w tę stronę.

Domek Hugh'a wyglądał bardzo przytulnie. Z komina unosił się dym. Hugh, słysząc nadjeżdżające auto, wyszedł na ganek. Miał na sobie stary, pocerowany sweter i szare, flanelowe spodnie.

- Cześć, córeczko. Nie spodziewałem się ciebie tak szybko. Coś nie gra?

Zatrzasnęła drzwi i wbiegła na górę.

- Tato, czemu zaangażowałeś Breta? - spytała bez ogródek.

- A więc o to chodzi? Myślałem, że wszystko jest w porządku.

- Czy zrobiłeś to, żeby nas pogodzić?

- Może wejdziemy do środka? - zaproponował Hugh.

W domku zwlekał z odpowiedzią.

- Słucham - naciskała Ginny.

Ojciec wyduł wargi i odwrócił wzrok.

- Owszem. Przyznaję. Nie mogłem dłużej patrzeć, jak się miotasz. Potrzebowałeś go.

- Ależ, tato - Ginny opadła na krzesło. - Przecież nie lubiłeś go, odkąd pobraliśmy się.

- Chwileczkę, kochanie - zaprotestował Hugh. - Zawsze go lubiłem. Nie podobało mi się tylko, że tak szybko wzięliście ślub. Kiedy wróciłaś do domu, wiedziałem, że nadal go kochasz, tylko nie chcesz się do tego przyznać. Mogłem was pogodzić jedynie w ten sposób. Zdziwiłem się, że przyjął moją propozycję.

- Miał swoje powody.

- I co z tego? - Hugh usiadł obok niej, biorąc ją za rękę. - Co w tym złego, że kochający mężczyzna porzuca dla ciebie pracę?

- Chyba nic... tylko że obaj manipulowaliście mną.

- Ale w dobrej wierze - usprawiedliwiał się Hugh.

- Nie było żadnych nawrotów choroby, prawda?

- Ależ skąd. Wyzdrowiałem miesiąc temu, ale wiedziałem, że tylko symulując zdołam wszystko przeprowadzić bez zbędnych kłótni.

- Mogłam się tego domyślić, kiedy nie zgodziłeś się na wizytę u lekarza - wciąż była zła na ojca, jednak przeważała ciekawość. - Jak udawało ci się czerwienić na twarzy?

- To proste. Nauczył mnie tego Jimmy Blaines. Robi tak, kiedy nie chce iść do szkoły. Niestety za dochowanie tajemnicy żąda coraz więcej pieniędzy.

- O matko! Dziesięcioletni szantażysta?

- Na to wygląda.

Zanim Ginny zadała następne pytanie, usłyszała charakterystyczny odgłos silnika samochodu Breta.

- I po co się tu przeprowadziłem? - jęknął Hugh. - Tyle spokoju, co na dworcu autobusowym.



- Nie trzeba było mnie okłamywać - słodko powiedziała Ginny, patrząc jak Hugh otwiera drzwi.

Bret ostrożnie zajrzał do środka.

- Czy wszystko już się wyjaśniło?

- Jeszcze nie - odparła wyniośle Ginny.

Była jednak w lepszym nastroju, niż kiedy tu przyjechała.

- Jak dotąd ojciec przyznał się do symulowania choroby i waszego spisku.

- To nieźle - zauważył Bret. - Hugh, masz kawę? Z powodu porywczej narzeczonej nie dokończyłem śniadania. Bałem się, że utknie gdzieś w błocie. Nie masz pojęcia, jak w tej okolicy łatwo niszczą się węże od chłodnicy.

- Poważnie? - spytał Hugh, sięgając po dzbanek.

- Zdaje się, że coś wiesz na ten temat.

- Och, tato... - Ginny wyprostowała się w krześle.

- Uznałem to wtedy za wspaniały pomysł - wzruszył ramionami Hugh. - Skąd mogłem przypuszczać, że zatrzaśniesz kluczyki w środku i o mało nie zamarzniecie na kość?

- A więc to dlatego wyszedłeś na dwór - pokiwała głową Ginny. - Ręce miałeś umazane smarem, nie błotem.

- No dobrze już, dobrze. Przyznaję, że podciąłem wąż tak, żeby pękł po drodze. Chciałem dać wam możliwość bycia razem. Po to się też tu przeprowadziłem.

- I jeszcze się tym chwalisz! - Ginny złapała się za głowę.

- Ale pomogło, prawda? - uśmiechnął się Hugh.

- Niezupełnie - powiedział Bret. - Z czasem jednak wszystko się ułoży.

- Pójdę się przejść - oznajmił ojciec.

- Tato, nie! - krzyknęła przestraszona Ginny.

- Tym razem tylko na spacer. Żadnych sztuczek - obiecał Hugh i wziął kurtkę.

- Myślę, że poradzicie sobie bez nich.

- Dzięki za zaufanie - mruknęła Ginny, zamykając za nim drzwi.

Przez chwilę w pokoju panowała cisza. Słysząc było tylko trzask płonącego w kominku drewna. Wreszcie Bret chrząknął.

- Na czym skończyłaś wylewać swoje żale?

Ginny schowała twarz w dłoniach. Czuła się bardzo głupio.

- Nie pamiętam...

- Nigdy nie obiecywałem Frankowi, że wrócę. Uwierz mi. Zadzwoił na chybił trafił, mając nadzieję, że zmieniłem zdanie. Od chwili, gdy dostałem nagrodę MacKellara, usiłował mnie zwabić. Bezskutecznie. Podoba mi się w Webster. Sam sobie jestem szefem. Prawdę mówiąc, twój ojciec zaproponował mi odkupienie „Heralda”.

Ginny powinna poczuć się urażona, ale po tym, co stało się w ciągu ostatnich dwunastu godzin, nie miała siły martwić się o gazetę.

Bret zrozumiał jej rozterkę.

- Powinienem być raczej powiedzieć nam - odstawił filiżankę. - No i co ty na to? Czy pobierzemy się, będziemy wydawać gazetę i wychowywać dzieci?

Ginny nie odpowiedziała. Podciągnęła rękawy swetra i nerwowo poprawiła włosy. Wreszcie wyszeptała:

- A jeśli znów się nam nie uda?

Bret wziął ją pod ramiona i podniósł.

- Musi się udać. Wspólnie rozwiążemy każde nieporozumienie. Widziałaś Sama i Laureę. Czy myślisz, że oni nie mają problemów? Oczywiście, ale pokonują je. My też damy sobie radę. A mówiąc między nami, co gorszego może nas jeszcze spotkać?

Ginny uśmiechnęła się smutno.

- Zacznijmy od początku. Nie widzę żadnych przeszkód, jeżeli twój ojciec nie będzie się wtrącał - ponieważ Ginny milczała, dodał: - Dla ciebie rzuciłem pracę, pozwoliłem się skapać w beczce z zimną wodą, utknąłem nocą w głuszy, prycza

zawaliła mi się na głowę... Co mam jeszcze zrobić, żeby przekonać cię, że cię kocham?

Właśnie, co? Zniknęły wszystkie zmartwienia. W ciągu tego roku zmienili się oboje. Spojrzała z miłością na pełną niepokoju twarz Breta.

- Nic - odparła, zrzucając mu ręce na szyję.

- Zupełnie nic.

- Jest jeszcze coś, o co chcę cię spytać - powiedział z ulgą Bret, pochylając się do pocałunku.

Ginny musnęła wargami szorstki policzek. Przez nią nie zdążył się ogolić.

- Pytaj, o co chcesz.

- Czy tym razem przyjmiesz moje nazwisko? A przynajmniej podwójne? Chciałbym, żebyśmy stali się prawdziwymi partnerami.

- McCoy-Calhoun? Calhoun-McCoy? Raczej nie. Można połamać sobie język. Laura powiedziała, że jestem idealną kandydatką na żonę Calhouna i tak powinnam się nazywać.

- Jak sobie życzysz, kochanie - pocałował ją. - Tylko już odtąd nigdy mnie nie opuszczaj.

# EPILOG

- Ślub w Boże Narodzenie to wspaniały pomysł, Ginny - powiedziała ze łzami w oczach Doris, poprawiając tiulowy welon panny młodej. Trzymał się na opasce udekorowanej niebieskimi różyczkami z satyny. Zdobily go delikatne srebrne gwiazdki, dzięki czemu włosy i ramiona Ginny wydawały się rzucać skry.

- Zdumiewa mnie, że zdołaliście uwinąć się ze wszystkim w niecałe dwa miesiące - dodała Carrie.

- Bret oświadczył, że nie wytrzyma długiego okresu narzeczeństwa - Ginny odsunęła się od lustra, by Carrie i Laura mogły podziwiać ją w pełnej krasie.

Był to jej drugi ślub i zgodnie z tradycją postanowiła wystąpić na kolorowo. Doris wypatrzyła gdzieś peau de soie, mięsisty jedwab o bladoniebieskim odcieniu i połączyła go z przetykaną srebrną nitką koronką. Wystudiowana draperia wykańczająca prostą suknię podkreślała pełne ramiona Ginny. Całości dopełniały koronkowe rękawy. Na czekający w pudełku bukiet składały się białe róże i błękitne orchidee.

- Gdybym miała córkę, też sama uszyłabym jej suknię ślubną - Doris dokonała ostatnich poprawek.

- Gotowe. Wyglądasz prześlicznie. Nie masz pojęcia, jak rozczarowałaś mnie poprzednim razem, obywając się bez mojej pomocy - pogroziła palcem Carrie.

- Niech ci nie przyjdzie do głowy żadna ucieczka z ukochanym.

- Bez obaw - Carrie uniosła ręce. - A poza tym ty i Ginny nadrabiacie jedynie to, czego nie udało się wam dokonać wcześniej. Bret nie miał nic do gadania, bo same zajęłyście się wszystkim.

- Ależ jego też wzięłyśmy pod uwagę, więc nie może się uskarżać - roześmiała się Ginny.

Spojrzała na Doris ubraną w nową sukienkę w kolorze intensywnej zieleni. Podkreślała jej jasne, lekko przyrudzone na tę okazję włosy.

Carrie i Laura jako druhny Ginny miały na sobie długie, przepasane wstęgą suknie z granatowego atłasu. Kołnierzyki zdobiła biała irlandzka koronka. Bukieciki z białych róż wiązały srebrne kokardy.

- Cieszę się, że małemu Travisowi minął katar i możesz być na moim ślubie - zwróciła się Ginny do Laury.

- Postraszyłam go - wyznała Laura - że jeśli nie będzie grzeczny, sprawię mu za rok nowego braciszka. Wyobrażasz sobie kolejnego Calhouna w domu? Nie do wytrzymania - jednak uszczęśliwiona twarz Laury mówiła coś wręcz przeciwnego.

- Nigdy nic nie wiadomo - pokręciła głową Ginny. - Bret i ja również możemy mieć za rok małego Calhouna.

- I będziecie mieli, jeśli Bret ma coś w tej sprawie do powiedzenia - zapewniła ją Carrie. Uśmiechnęła się słysząc pierwsze takty muzyki. - Zaczyna się. Jesteś gotowa?

Ginny wyjęła bukiet z pudełka i odwróciła się do wyjścia szeleszcząc koronkami.

- Bardziej, niż mogłybyście się spodziewać.

Była szczęśliwa i podniecona. Tym razem oboje z Bretem doskonale wiedzieli, czego pragną - siebie.

Czekał na nich prawdziwy miesiąc miodowy. Podczas ich nieobecności ojciec miał zająć się „Heraldem”. Po ich powrocie Hugh zamierzał pozostać w chatce i skończyć książkę. Potem, aż do znalezienia sobie nowego domu, zająłby pokój nad garażem.

Laura i Carrie wyprowadziły Ginny z małego pomieszczenia, w którym przygotowywały się do ceremonii. Hugh stał w holu, mnąc niebieską kamizelkę.

Ginny wzięła go mocno pod ramię. Wspięła się na palce i zobaczyła Breta, czekającego przed wejściem do kościoła. Wysoki, przystojny mężczyzna w szarym smokingu. Spozregł ją również. Wpatrywał się w nią tak samo intensywnie, jak za pierwszym razem. Poczowała ogarniającą ją falę ciepła i lekko zadrżała. Wiedziała, że

nie musi martwić się o przyszłość. Była o nią równie spokojna, jak i o miłość Breta.

Organy zabrzmiały marszem weselnym z Lohengrina. Ginny pochyliła się i szepnęła siostrze do ucha:

- Carrie, czy poznałaś Willa, młodszego brata Breta?

- Jasne - zamrugła Carrie. - Wczoraj na próbie ceremonii.

- Uważaj! Z Calhounami dzieją się dziwne rzeczy podczas ślubów.

- Ale ze mną to nie przejdzie. Po tych wszystkich kłopotach, jakie ci faceci przysporzyli tobie i Laurze? Co to, to nie.

Ginny zerknęła na Laurę, uścisnęła jej palce i ruszyła wzdłuż nawy. Przodem szła Carrie, z tyłu Laura.

Hugh przyciągnął lekko Ginny.

- No cóż, moja mała córeczko. Mam nadzieję, że tym razem wiesz, co robisz.

- Wiem, tato. Wiem na pewno!

